

zdarzenia

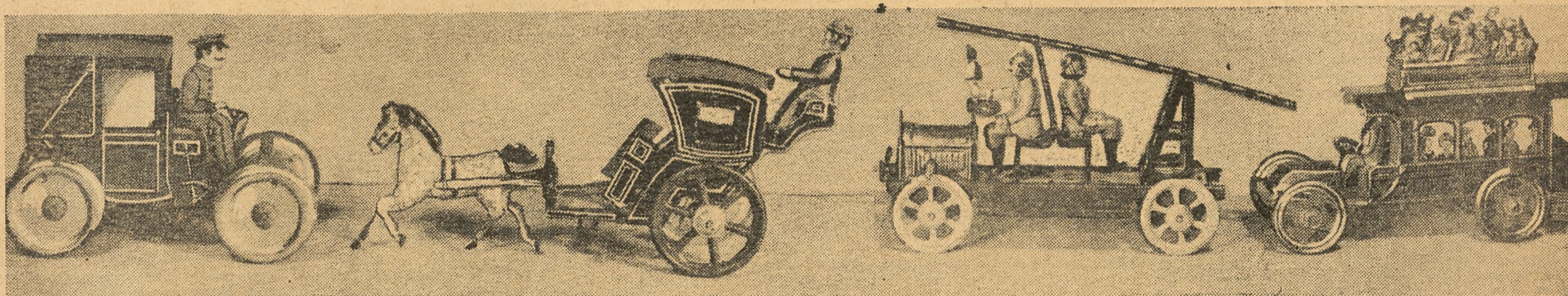
ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

KRAKÓW

24. XI. 1957 r.

Nr 29

CENA ZI 1.50



Przed miesiącem
świętecznych podarunków

**NIM KUPISZ ZABAWKĘ
PRZEJRZYJ TABELĘ!**

Opracowali ją uczeni ze znanym psychologiem niemieckim dr Steinem na czele.

(Przeczytaj artykuł na ten temat na str. 9-tej, pt.: „Czy Twoje dzieci mają odpowiednie zabawki“.)

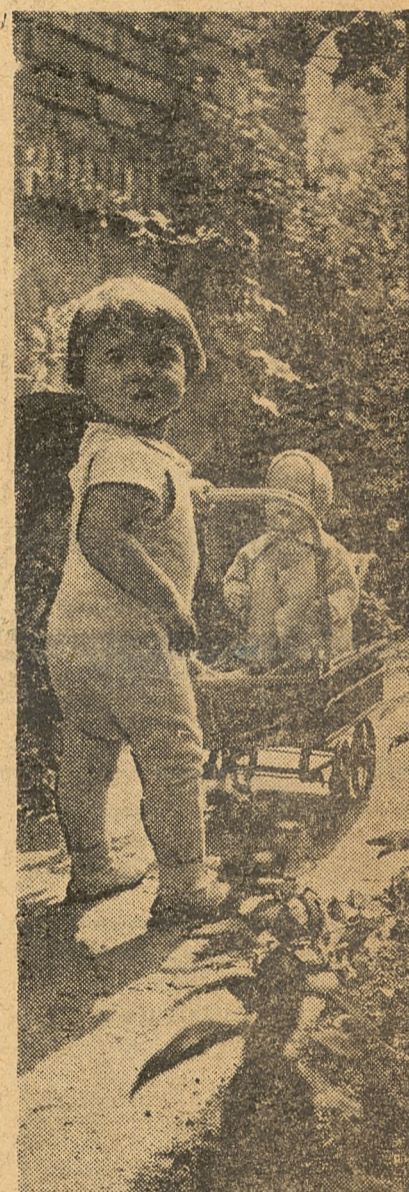


Foto Władysław Matak, Kraków



WIEK	RODZAJ ZABAWKI
4 mies. — 1 rok	wszelkiego rodzaju grzechotki
1/2 roku — 1 1/2	łańcuszki z kolorowych kulek, zwierzęta z ceraty, plastyku lub z materiałów włókienniczych
1 1/2 roku — 3 lat	zwierzęta z celuloidu pływające po wodzie do zabawy w wannie
1 rok — 3 lat	nie tłukące się lalki, zwierzęta do ciągnięcia na sznurku, drewniane auta, koleje
2 lat — 6 lat	drewniane klocki do budowy
2 „ — 6 „	drewniane auta ciężarowe i inne pojazdy do przewożenia towarów
2 „ — 6 „	niedźwiadki, zwierzęta z materiałów tekstylnych, przybory do zabawy w piasku, piłki, łożeczka dla lalek
3 „ — 6 „	lalka wyobrażająca duże dziecko
3 „ — 6 „	rysiki, malowanki
3 „ — 6 „	ubrania dla lalek, kufry, miotły, trzepakki, teatr kukielkowy
3 „ — 6 „	rowery dziecięce, kółka, hulajnogi
3 1/2 lat — 6 lat	plastelina
4 „ — 6 „	bączki, klocki do budów z uchwytnymi do umocowania, pokoiki dla lalek, sklepy, skakanki, wywiadła
6 „ — 7 „	drewniane auta, duży wózek dla lalek, kredki, dziecięce tkalnie ramkowe
6 „ — 9 „	drewniane klocki, większe auta ciężarowe
6 „ — 10 „	rowery, wycinanki,
6 „ — 10 „	niedźwiadki, zwierzęta z materiałów tekstylnych, przybory do zabawy w piasku, rysiki, farby wodne
6 „ — 12 „	modele do wycinania i klejenia, figury do zestawiania, walizki, szafy, pralki, magnes, elektryczne lampy kieszonkowe, loteryjki obrazkowe, czarny Piotruś
6 „ — 12 „	łożeczka dla lalek, wózki pokojowe, plastelina
6 „ — 12 „	lalka przedstawiająca duże dziecko
7 „ — 12 „	metalowe pojazdy z wyposażeniem, garaż, drogowe znaki komunikacyjne
7 „ — 12 „	skrzynka z narzędziami, przybory i materiał do robót ręcznych
8 „ — 12 „	skrzynka z narzędziami do obróbki metalu, kuchenka, maszyna do szycia
8 „ — 12 „	magiczna latarnia (projektor)
10 „ — 12 „	koleje metalowe, maszyna parowa, zabawki mechaniczne

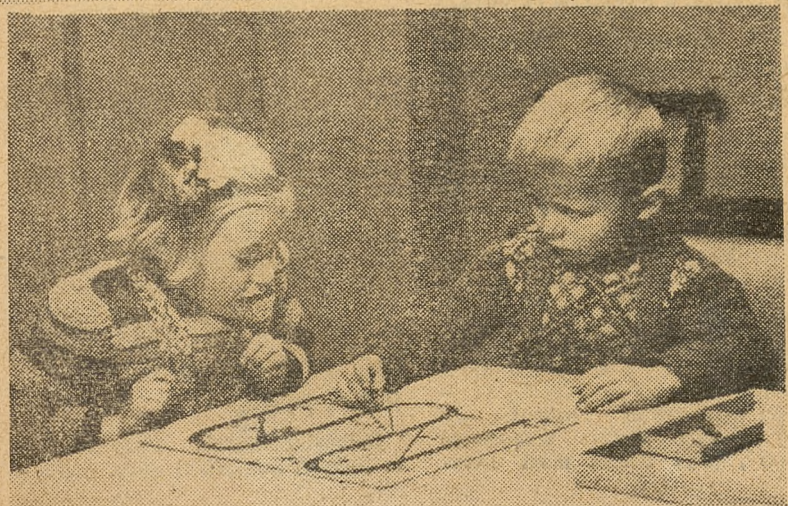


Foto Leszek Dziedzic, Kraków



UWAGA: najniezbędniejsze zabawki podkreśliłmy tłustą czcionką. Te zabawki powinny dzieci przede wszystkim otrzymywać.

STANISŁAW LE M

Wiadomość o tym, że Łajka nie wróci na Ziemię, sprawiła żywą przykrość takiej ilości ludzi na świecie, jakiej sympatią nie cieszył się, bez wątpienia, żaden jeszcze pies od najdawniejszych czasów po dziś dzień. Zarazem jednak, jeżeli się nie myli, ogromna większość czytelników gazet nie orientuje się w dalszym ciągu, dlaczego właściwie przedsięwzięcie, mające na celu „ładowanie” psa, było tak niesłychanie trudne, daleko trudniejsze od wyrzucenia go w przestrzeń, a ten brak orientacji w przedmiocie chyba tylko potęgują w znacznej części bałamutne komentarze prasowe. Mówiło się przecież i pisało o tym, że psy — a między innymi, sama Łajka — były wyrzucane w rakietach na wysokość nie wiele mniejszą od tej, na jakiej przelatuje drugi satelita w najniższym punkcie swej orbity nad Ziemią, — i lądowały szczęśliwie, żywe i zdrowe, opuszczając się na spadochronach. Rzecz jednak w tym, że rakiety, o których mowa, nie osiągały szybkości „kosmicznej”, tj. 8 kilometrów na sekundę, lecz zawsze mniejszą, tak tedy, wystrzelone mniej lub bardziej pionowo, wznosiły się na znaczną nawet wysokość, „wyskakując” ponad atmosferę ziemi, po czym, gdy szybkość ich zbliżała się do zera, zaczynały opadać na powrót, zwiększając wprawdzie swą szybkość pod działaniem przyciągania Ziemi, lecz równocześnie hamowało ów wzrost szybkości działanie specjalnych spadochronów. W praktyce rakiety te nie przekraczały w spadku 2 km na sekundę, a zatem ich energia kinetyczna, którą trzeba było wytracić to jest wyhamować, była wielokrotnie mniejsza od energii ruchu „sputnika”.

Jak powinna by wyglądać, z konieczności sterowana na odległość, operacja „ściągnięcia psa na Ziemię” ze sztucznego satelity? Przede wszystkim, satelita taki musi wirować wokół osi podłużnej, podobnie jak wirują np. pociski artyleryjskie, a to w celu utrzymania właściwej stabilizacji w locie. W przeciwnym razie pociski on koziółkować, co wykluczyłoby możliwość odpowiedniego zahamowania jego ruchu. Jak długo krąży on poza atmosferą z szybkością 8 km na sekundę, nie wykaże

najmniejszej skłonności do powrotu w warstwy powietrza niższe; powrót ten rozpocznie się dopiero, gdy jego szybkość opadnie poniżej 7,9 km/sekundę. A zatem, ustabilizowany ruchem wirowym wokół osi podłużnej satelita, lecący „dziobem naprzód”, musi zostać zahamowany tak, by stracił co najmniej 200—300 m/sekundę ze swej chyżości. Odpowiednio zamontowane ładunki prochowe, we właściwej chwili zdeto-

szym ciągu wytracać jego szybkość przy pomocy ładunków rakietowych, wystrzelianych w kierunku ruchu to prosty rachunek wykaże, iż ilość potrzebnego w tym celu paliwa jest niemal rzędu ilości, potrzebnej, aby analogiczną masę podnieść z Ziemi na tę samą wysokość. Ze zaś masa rakiety, która może wystrzelić satelitę, jest rzędu dziesiątków, jeżeli nie setek ton, to oczywiste staje się, iż zasobnik, czy satelita, nie może

tach nośnych, powstającą od momentu wnikięcia w górne warstwy powietrza, w y p r o w a d z i é zasobnik na powrót p o z a granicę atmosfery, ale już z odpowiednio zredukowaną szybkością. Zapewne pozostała chyżość wystarczająca na dalsze okrążenie globu, z ponownym wnikięciem w głąb atmosfery na najniższym odcinku drogi; wówczas manewr trzeba by powtórzyć — i powtarzać go tak wiele razy, aż energia kosmiczna ruchu została by w poszczególnych porcjach tego „hamowania aerodynamicznego” wytracona i możliwy stałby się powrót na Ziemię na spadochronie, gdzie po zredukowaniu szybkości do 1,5—2 km/sekundę.

Tajemnica tych powtarzających się manewrów leży w tym, że wytworzone za każdym przyhamowaniem (wskutek tarcia) ciepło, zostaje po wydotaniu się z atmosfery wypromieniowane w przestrzeń próżną — pocisk ma zatem czas na ochłodzenie. W przeciwnym razie, wprowadzony „za jednym zamachem” w gęstsze warstwy powietrza, musiałby ulec stopnieniu i wyparowałby jak kropla wody rzucona na rozżarzoną blachę.

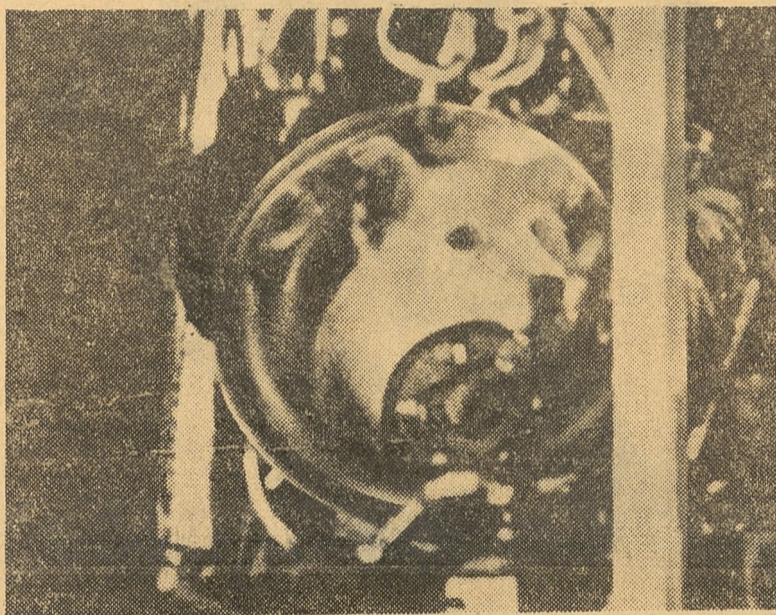
Jest oczywiste, że, aby być zdolnym do podobnych manewrów, zasobnik musiałby być sterowany i posiadać płyty nośne, przypominające płyty samolotów naddźwiękowych (typu, np. delta). Jest równie oczywiste, że przy dzisiejszym stanie techniki podobne sterowanie pocisku b e z l u d n e g o, na odległość, jest praktycznie nie do utraczywania, (gdyż utrzymanie ciągłej radiowej łączności z satelitą przez jedną stację ziemską jest niemożliwe — żeby wymienić tylko jedną z wielu przyczyn). Ponadto zaś każda zmiana, każde zredukowanie szybkości zasobnika o d z i e s i ą t e k metrów na sekundę w górnych częściach jego drogi, powoduje automatycznie przesunięcie punktu lądowania o s e t k i, jeśli nie tysiące kilometrów. Z powiedzianego bynajmniej nie wynika, że sprowadzenie satelity, bądź jego części, na Ziemię, będzie i w przyszłości niemożliwe. Nic podobnego; zagadnienie to, nad którym obecnie, jak słyszymy, w ZSRR pracuje się intensywnie, będzie na pewno rozwiązane, jeżeli nie w sposób, jaki próbowałem naszkicować, to inaczej. Byłoby atoli mrzonką oczekiwać, że podobne urządzenia będzie posiadał już drugi wyrzucony satelita — podobnie, jak nonsensem byłoby żądać od drugiego na świecie, skonstruowanego w roku 1909 samolotu, aby powiedział, był w stanie przelecieć Atlantyk...

FELIETON KSIĘŻYCOWY

nowane na „rozkaz” przestany drogą radiową, mogłyby teoretycznie wystrzelić z satelity zasobnik z psem w kierunku, przeciwnym do jego ruchu po orbicie. To czysto teoretyczne rozważanie ma niestety nad wszelki wyraz za mało praktycznych szans na realizację w takiej postaci, ponieważ zasobnik, przyhamowany, po wystrzeleniu z satelity, do szybkości rzędu 7,5—7,6 km na sekundę posiada jeszcze dostateczny zapas energii, aby wykonać co najmniej jedno (a prawdopodobnie więcej niż jedno) okrążenie Ziemi. Zasobnik ów zniżałby się zatem po bardzo ciasnej spirali, i zetknąłby się z najwyższymi warstwami atmosfery mającej jeszcze zapas energii kinetycznej, wielokrotnie większy od energii wolno spadającej rakiety, wystrzelonej z szybkością m n i e j s z a od kosmicznej. Gdybyśmy chcieli w dal-

dźwigać w swym wnętrzu podobnie obryzmymi rezerw rakiet hamowniczych.

Mówiło się i pisało, co prawda, o wytraceniu szybkości przy pomocy spadochronów. Jednakże wydolność hamownicza spadochronów, nawet specjalnego typu, używanych do sprowadzania na Ziemię wystrzelonych rakiet, kończy się przy szybkościach rzędu 2 kilometrów na sekundę. Są to systemy pierścieni metalowych na stalowych linkach, nie wiele wspólnego mające z wyglądem „zwyczajnych” spadochronów. Jedyne wyjście praktyczne wyglądałoby mniej więcej w ten sposób: zasobnik wirujący po spirali zaczyna opadać w atmosferę; w momencie, gdy spadochron i on poczynają się rozgrzewać do zbyt wysokiej temperatury, należy, sterując i wykorzystując siłę udźwigu na pla-



zd * rzenia

NIEMCY A KOSMOS

„Sputnik nr 2 i pokaz rakiet radzieckich na Placu Czerwonym w dniu 7 listopada wywróciły do góry nogami wyobrażenia Niemców o kosmosie.

W słowniku określa się kosmos jako „wszechświat, będący wcieleniem porządku i harmonii”. W niemieckim kosmosie była tylko jedna gwiazda pierwszej wielkości — Słońce Zjednoczone. Gwiazdą drugą wielkości, ale przybierającą na siłę światła był Związek Radziecki.

Sputnik nr 2, pokaz rakiet zburzył niebiański porządek kosmografii niemieckiej, „nauki opisującej i umiającej główne cechy nieba i ziemi”.

Nie ma w tym nic śmiesznego, zawsze bowiem jest rzeczą niebezpieczną wprowadzać zamęt w ustalonych i dech ludzi na temat „wszechświata. Ustalone idee — to coś, jak puch, z którego jednostki i narody mogą sobie uwić wygodne gniazdo do głębokiego snu. Niemcy uwiili sobie takie gniazdo we wszechświecie amerykańskim”. (NEW YORK TIMES).

CZYŻBY

„Nie trudno dziś odgadnąć, co przede wszystkim zawierać będzie podręcznik historii, jaki weźmie do ręki nasz wnuk czy prawnuk ucząc się o współczesnej nam epoce. („DZIENNIK POLSKI”).

PODANIE

„Uprzejmie proszę o wydanie mi paszportu, niezbędnego przy opuszczeniu granic kraju i uprawnającego do wydalenia się poza orbitę Ziemi na trasę Warszawa-Wszechświat-Warszawa (kierunek księżyc, Mars względnie polski sektor planetarny Metagalaktyki np. Venus)”. („ZYCIE WARSZAWY” z podania ob. T. Kłosowskiego do Biura Paszportowego MSW).

IDEAL

„Niemcy nie są już owym narodem historycznym, który wykuyał historię i który wyczyniał „historie”. Jego ideałem jest obecnie coś w rodzaju „planetarnej Szwajcarii”. (FRANCE OBSERVATEUR z wypowiedzi prof. Carlo Schmidta, SPD).

zd * rzenia

Podajemy dziś szereg wypowiedzi ludzi nauki i techniki na ogólny temat:

„Co będzie za 10 lub 20 lat w dziedzinie, która Pana szczególnie interesuje”.

Jedni stali raczej dość mocno na gruncie dnia dzisiejszego, inni śmiało wybiegali w przyszłość. Jedni i drudzy mówili rzeczy ciekawe. To nie ulega wątpliwości. Zresztą za chwilę sami ocenicie. W dzisiejszej naszej ankiecie wypowiedzieli się lekarze, urbanisci, architekci, inżynierowie, fotograficy, znawcy radia, telewizji itd... Jednym słowem: dla każdego coś milego.

Mgr inż. arch. JANUSZ BALLESTEDT

Zawód architekta już niedługo będzie anachronizmem. Architektury będą robić przemysłowcy, inżynierowie... ale nie architekci. Procent budynków projektowanych i wznoszonych indywidualnie będzie coraz mniejszy; nie będzie się budować ale produkować. Tak samo skończy się kariera mebli; ostanie się tylko krzesło, też zresztą nie na długo. Urządzenia mieszkań będą tłoczone w fabrykach razem ze ścianami pokoi. Oczywiście tworzywa sztuczne, a raczej materiały na bazie tworzyw. Oświetlenie? Elektroluminiscencja, czyli żarzące się ściany w różnych kolorach. Ogrzewanie? Tu być może tkwi klucz do spraw architektury i urbanistyki przyszłości. Budynki mieszkalne w dużym procencie odcierają się kiedyś od ziemi, do której są przywiązane nie za pomocą fundamentów, ale za pomocą przewodu doprowadzającego energię. Zasadnicze zmiany nastąpią wtedy, kiedy potrafimy przekazywać energię na odległość — tzn. odbierać ją z centralnej elektrowni za pomocą czegoś

Trochę fantazji CO BĘDZIE ZA 10 LAT

w rodzaju radioodbiorników: nie będziemy wtedy jeździć samochodami, ale fruwając mieszkaniami. Oczywiście duży procent ludzi będzie prowadzić osiadły tryb życia.

Węgił nie będziemy palić, bo to jest marnotrawstwo. Węgiel jest podstawowym surowcem dla przemysłu chemicznego.

Kiedy się to zacznie? Na Zachodzie chyba nie szybko, bo tam sprawy mieszkalnictwa nie wyglądają tak drastycznie. U nas? Wtedy kiedy nasze władze centralne zrozumieją, że obecne metody budownictwa mogą nas doprowadzić do katastrofy. A więc może niedługo.

Prof. dr
ANDRZEJ DOMAŃSKI — kierownik Zakładu Historii i Teorii Układów Przestrzennych.

Miasta są najtrwalszymi dziełami rąk ludzkich. Obecne miasta są do pewnego stopnia anachronizmem. Ale jeszcze długo będziemy żyć w osrodkach, których forma została dawno skryształizowana. Obserwujemy dziś pewne próby wyjścia poza układ miast starych. (np. Nowa Huta). Dalsza ewolucja urbanistyki pójdzie jednak w kierunku dezurbanizacji i większego powiązania życia człowieka z przyrodą. Przeżyjemy erę zmierzchu miast-gigantów. Nowe środki komunikacji (samochód, helikopter itp.) spowodują zanik wielkich metropolii, takich jak dzisiejszy Londyn, Nowy York lub Chicago.

Jeśli chodzi o typ zabudowy miasta przyszłości, to już dziś obserwujemy się dążenie do jednorodzinnych domków otoczonych ogródkami. Istnieje też tendencja do rozbudowy miast mniejszych, prowincjonalnych. Chyba jednak nie pójdziemy w kierunku wielkich bloków usytuowanych wśród zieleni, tak jak to pro-

pagował Corbussier. To byłoby zbyt kosztowne. Epoka wieżowców też się już kończy. Przyszłe miasto będzie więc posiadać zabudowę średnią — około 3-piętrową. Domy będą tonąć w zieleni. Będzie dużo powietrza i słońca. Te sprawy są już przesądzone. Człowiek ma dość kamiennych wąwozów ulic, dość hałasu i powietrza przesyconego spalinami. Zamiast tramwajów będą jeździć po ulicach nowoczesnego miasta autobusy z elektrycznymi silnikami, ładowanymi na końcowych przystankach. Całe dzielnice będą korzystały z ciepła wytworzonego w centralnych kotłowniach. Ogrzewanie ulic jest rzeczą dość kosztowną, ale technicznie prostą. Zapewne więc i ono znajdzie zastosowanie. Nowy typ miasta zlikwiduje groźny dziś problem braku miejsca na parking samochodów. Zamiast metra wejdą zapewne w użycie koleje napowietrzne. Na dachach niektórych budynków będą się znajdować lądowiska dla helikopterów utrzymujących łączność z oddalonymi lotniskami. Jednakże dworce kolejowe będą zapewne lokalizowane jak najbliżej centrum miast.

Dr **JAN KAZIMIERZ DORAŃSKI** — kierownik Miejskiego Zakładu Radiologii

Jeśli chodzi o rozwój techniki w zakresie rentgenologii, to prace idą w kierunku poprawy jasności oraz ostrości obrazu na ekranie aparatu do prześwietleń. W tej dziedzinie notujemy na świecie duży postęp. M. in. stosuje się telewizję, co pozwala na oglądanie obrazu przy świetle dziennym, w oddaleniu od pacjenta. Lekarz nie musi już tkwić godzinami w ciemnym pomieszczeniu i nie jest narażony na szkodliwe działanie promieniowania. Tego rodzaju — niezwykle kosztowne — aparaty znajdują się jeszcze w stadium eksperymentalnym i oczywiście nie u nas... Polepszenie ostrości obrazu zależy od

zmniejszenia ognisk w lampach rentgenowskich. O ile przed wojną mieliśmy lampy o ognisku około 2 mm², to obecnie dysponujemy lampami o ognisku 0,09 mm². Ostrość obrazu jest bez porównania większa niż dawniej. Aparaty rentgenowskie o małych ogniskach sprowadzamy już obecnie z zagranicy. W związku z tym otwierają się też możliwości wykonywania zdjęć powiększonych, co ma wielkie znaczenie dla badania drobnej struktury (np. kości). Bardzo gwałtownie idzie naprzód technika — znanych już zresztą nie od dziś — zdjęć warstwowych, co pozwala rokować duże nadzieje na przyszłość. Możemy dokonywać szeregu zdjęć przedstawiających nam wnętrza badanego organu na różnych, ściśle określonych płaszczyznach co oczywiście zwiększa możliwość wykrycia choroby. Są też w użyciu nowoczesne aparaty wykonujące kilkadziesiąt zdjęć w paru sekundach.

W Polsce do wagi pierwszorzędnego problemu urasta sprawa odnowienia przestarzałej aparatury, która ma już kilkadziesiąt lat i która z każdym rokiem coraz bardziej się starzeje.

Mgr **JERZY FRĄCKIEWICZ** — art. fotografik, kierownik Zakładu Fotografii Naukowej AM w Krakowie.

Postępy techniki w zakresie fotografii są kolosalne. Dla przejrzystości podzielimy sobie zagadnienia na kilka grup. I. **Materiały negatywowe.** W tej chwili posiadamy już filmy o niezwykłej jak na dotychczasowe stosunki czułości 45/10 DIN, to znaczy 50 razy czulsze niż dotychczas. Wobec tego stają się bezużyteczne supernowoczesne błyskowe lampy elektroniczne, używane obecnie przez fotoreporterów. W najbliższej przyszłości fotoreporter porzuci swoje bądź co bądź niezbyt wygodnego „flesza”, gdyż będzie mógł doko-

nywać zdjęć bez jego pomocy. II. **Materiały pozytywowe.** Tu mamy też piękne osiągnięcia techniki, mianowicie tzw. „papier trójwarstwowy o różnych gradacjach. Po prostu na jednej kartce takiego papieru mamy emulsje o trzech różnych gradacjach. Potrzebna nam warstwa wydobytą przez zastosowanie odpowiednich filtrów. Takie papiery już produkują „Kodak”, „Dupont”, „Gaeveri” itd. III. **Optyka.** Postęp techniczny w optyce fotograficznej idzie w kierunku coraz większej jasności obiektów opartych na zasadzie promieni odbitych, a nie przechodzących przez soczewkę. IV. **Fotografia barwna.** Tu notujemy ulepszenia w dokonywaniu barwnych odbitek. Jednak w tej dziedzinie wciąż jeszcze jesteśmy dalecy od ideału ze względu na skomplikowanie procesu chemicznego. Podkreślam, że mam w tej chwili na myśli odbitki, a nie negatywy, z którymi jest o wiele lepiej. U nas w Polsce fotografia kolorowa stoi jeszcze bardzo nisko, o czym świadczy m. in. międzynarodowa wystawa fotograficzna FIAP w Warszawie, na której Polska była b. słabo reprezentowana. V. **Fotografia naukowa.** Obserwujemy coraz silniejsze przesuwanie dokumentacji fotograficznej w kierunku mikrografii przy pomocy mikroskopu elektronowego, a nawet jonowego. VI. **Technika budowy aparatów fotograficznych:** w tej dziedzinie mamy do zaimplementowania pełną automatyzację procesu regulacji przysłony oraz czasu naświetlania. Wkrótce nawet małe dziecko będzie mogło robić niezłe zdjęcia. Widzę tu pewne niebezpieczeństwo dla rozwoju fotografii artystycznej. W każdym razie w dziedzinie fotografii technika święci wielkie triumfy.

Mgr **ZDZISŁAW KRZYSTEK**

Miłośnicy muzyki będą mieć w przyszłości odbiorniki duże, szafko-

O WYNAŁAZKACH i WYNAŁAZCACH z prawdziwego zdarzenia i odkrywca epokowych

Zdaje się, że nadszedł czas na rewizję poglądów mądrego Stańczyka i to nawet w okresie „Singapoor 57”. Nie lekarzy w ukochanym kraju mamy najwięcej. Palma pierwszeństwa przechodzi z wolna w ręce wynalazców. Dziwne? No to patrzcie na takie cyfry, które uprzejmy nacelnik Bratek z Urzędu Patentowego w Warszawie udostępnił niżej podpisaniem.

W 1956 r. do Urzędu Patentowego zgłoszono łącznie 4579 wynalazków, w tym 1277 udoskonaleń technicznych. W tym roku tylko w ciągu 8 miesięcy wpłynęło do Urzędu blisko 1900 wynalazków, ponad 1130 wzorów i 1121 udoskonaleń.

Zresztą po co liczby? Wystarczy zajrzeć do jednego z ostatnich numerów „Przekroju”, gdzie pewien pan demonstruje rewelacyjny wynalazek „zginów”. Bierze się po prostu zwykłe biurkowe spinacze i wygina różne esy floreesy, które później trzeba ładnie zatytułować, np. „Nimfa”, czy „Brigitte Bardot na plaży”. Korzyść podwójna: dla ciała, bo wyrabia się giętkość w palcach i dla umysłu, jako że „zgin”, zdaniem wynalazcy, to twórczość artystyczna. A zatem, proszę państwa, za jeden złoty z groszami (koszt pudełka spinaczy), możemy zostać artystami.

No, ale to tak na marginesie, jako że ów „przekrojowy” wynalazca, w Urzędzie Patentowym jeszcze się nie zgłosił. Zgłosił się natomiast twórca... higienicznego palca do macania kur.

Oczywiście na tym palcu, ani się nie zaczyna, ani też nie kończy kronika wynalazków rejestrowanych w Urzędzie Patentowym. Bo naszych rodzimych Edisonów podzielić można na:

- wynalazców z prawdziwego zdarzenia
- reprezentantów tzw. radosnej twórczości
- odkrywców epokowych.

O tej pierwszej grupie pisać nie będę. Nie laikowi rozważać zalety takiego np. urządzenia do głębokiego drażenia gruntu, skonstruowanego przez Wiktora Zinkiewicza z Polskiego Ratownictwa Okręgowego, które to urządzenie draży mechanicznie ziemię prostopadłe, ukośnie, poziomo i lukowato. Ten świetny wynalazek, ułatwiający znakomicie

układanie kabli i linii podziemnych, wzbudził prawdziwą sensację za granicą. Napływają już zapytania co do możliwości zakupu patentu. Wynalazki z prawdziwego zdarzenia, to również opracowany przez Jana



— Wydaje mi się, że pański wynalazek już gdzieś widziałem. Musimy tylko sprawdzić te 5 milionów patentów.

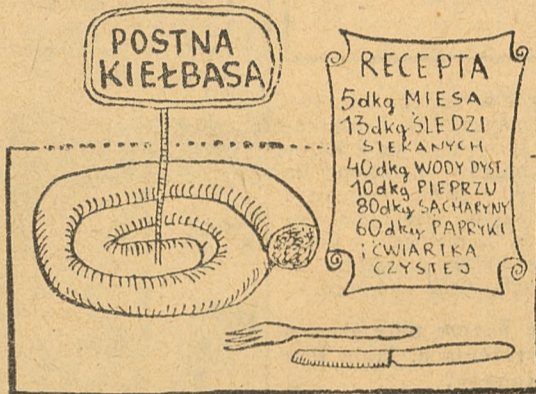
Górniaka sposób rafinowania oleju, reaktor do syntezy amoniaku skonstruowany przez inż. inż. Wacława Henelę i Wacława Marka, względnie niezwykle istotny i ważny dla naszej gospodarki sposób otrzymywania germanu (bardzo rzadki pierwiastek) z pyłów generatorowych, wynaleziony przez zespół inżynierów.

MECHANICZNY GRZEBIEŃ

Jako się jednak rzekło, wynalazcy z prawdziwego zdarzenia to tylko część, i to raczej mała, rodzimych Edisonów. Bo na każde 100 zgłoszeń w Urzędzie Patentowym tylko kilka otrzymuje patenty, a z tych kilku zaledwie jeden znajduje konkretne zastosowanie. Tu proszę państwa, trzeba od razu wyjaśnić, że Urząd jako taki, nie bada wartości użytkowej rejestrowanych wynalazków. Kryteria oceny są w zasadzie dwa: sens techniczny i nowość. Co do pierwszego kryterium sprawa jest jasna. Nie zatwierdzi się wynalazku, który sprzeczny jest z elementarnymi zasadami np. fizyki. Jeśli chodzi zaś o kryterium nr 2 — nowość — to Urząd dysponuje biblioteką liczącą blisko 5 milionów opisów rozmaitych wynalazków, z których

wiele rodowodem swym sięga ubiegłego wieku. Cała ta biblioteka podzielona jest na 89 klas i ekspert oceniający zgłoszony wynalazek szybko określić może z całą dokładnością, czy rzeczywiście wynaleziono coś nowego, czy też wynalazek został, jak to się mówi, zerżnięty.

No ale dość tych prawniczych zgola wywodów. Skoro Urząd nie ma obowiązku badania przydatności użytkowej zgłoszonego projektu, więc też reprezentanci tzw. radosnej twórczości nie mają pole do popisu, zwłaszcza w dziedzinie tzw. wzorów użytkowych. Wzór użytkowy to taki mały wynalazek, nie rozwiązujący zagadnienia w sposób kompleksowy, lecz udoskonalający rzecz już znaną. A radosna twórczość w tej dziedzinie, to np. mechaniczny grzebień. Sam cieszę! Tylko, że dla wprowadzenia go w ruch potrzebny jest mechanizm, do noszenia którego zaangażować trzeba by specjalnego człowieka. Taką radosną twórczością jest też np. obrus z napisami i obrazkami. Piękna rzecz, którą osobiście polecałbym naszym zakładom gastronomicznym. Gość zajęty np. studiowaniem na obrusie biustu Lollobrigidy z objaśniającym napisem, zje co mu podadzą.



PERPETUUM MOBILE

Obrus obrusem, a reportaż się rozrasta, więc zajmijmy się wreszcie trzecią grupą krajowych twórców, których określiliśmy jako odkrywców epokowych.

Ładnych parę godzin przesiedziałem nad pokazywanymi mi zgłoszeniami i powiedziałem muszę, że nigdy w życiu nie przypuszczałbym, że

aż tylu w Polsce ludzi koniecznie chce coś odkryć, nie mając ku temu najmniejszych podstaw. Kogo ten biedny Urząd Patentowy nie oglądał.

Więc rzecz prosta, przede wszystkim znanych i kochanych, znanych w całym świecie maniaków, twórców maszyn samodziśających, ludzi, którzy koniecznie chcą uzyskać skutek bez przyczyny. Produkty ich bezproduktywnej pracy noszą różne nazwy, np. „fizyczny silowór”, „koło Archimedes”, „mazowiecka turbina grawitacyjna”, „maszyna samodziśająca” itp. itd. Najrozsądniej postąpił jeszcze ten „wynalazca”, który swoje dzieło zatytułował po prostu „Perpetuum mobile” i koniecznie chciał wytłumaczyć ekspertom, że jednak ma rację.

Ci wszyscy to niejako tradycjonaliści. Ale jest też i grupa, która idzie z postępem. Oto np. na wiadomość o licznych burdach ulicznych, pewien pan z Radomia przysięgł do Urzędu Patentowego wynalazek: „sposób rozpraszania zbiegowisk ulicznych”. Sposób jest genialnie prosty, polega na tym, aby milicja zamiast pałek używała... farby. Chodzi o to, żeby chuliganów oblewać z sikawek, gaśnic i innych tego typu urządzeń, po czym pilnie obserwować poczynione efekty. Tych, którzy mają ślady z przodu, jako najbardziej agresywnych, należy natychmiast aresztować, ci zaś, którzy pokropieni są na plecach, są — zdaniem wynalazcy — niewinni, gdyż szybko dawali drapak.

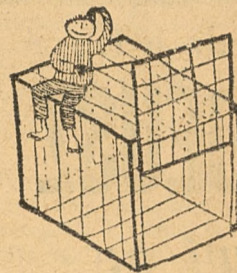
Żyjemy w dziedzinie atomu, toteż

w Urzędzie nikt się nie dziwił, kiedy pewen schludnie wyglądający pan przyszedł, oświadczając, że jest twórcą wynalazku atomowego. Expose, które wygłosił, brzmiało mniej więcej tak: „Od dziś bomba atomowa, to pestka, szczeniaki itd. Ja wynalazłem sposób na bombę. Rozkładam na dłuższy okres czasu jej wybuch, tak że jej siła niszczyielska równa się zeru”. Jak się jednak w

dalszej rozmowie okazało, ów wynalazca nie miał nie tylko pojęcia fizyce Einsteina ale nawet o fizyce Newtona.

MĄDRY FLUID ŻOŁĄDKOWY

Nie brak wynalazków i w dziedzinie gastronomicznej. Rekordy bije tu pewien — twórca z Łańcuta, który kolejno „wynalazł”: postną kiełbasę do barowych przekąsek, majestryczną pastę, która składa się z mięsa i siekanych śledzi, oraz tzw. mądry fluid żołądkowy czyli balsam.



Uniwersalna wędka na lwy i wieloryby.

Ow fluid składa się z następujących składników: 40 proc. fluidu, czyli wody destylowanej, 10 proc. esencji pieprzu włoskiego, 5 proc. papryki, 0,5 proc. sacharyny, 5 proc. cukru, 2 proc. sody, 3 proc. pieprzu angielskiego dla nadania wytworności i smaku, oraz 35 proc. spirytusu jako zasadniczego pierwiastka wytwarzania temperatury żołądka.

Na początku reportażu pisałem o wynalazku higienicznego palca do macania kur. Autor jego uzasadniając całą doniosłość swego dzieła powoływał się... na religię katolicką. W piśmie do Urzędu Patentowego pisał: „Z ambony niejednen ksiądz zakazywał badania palcem uzbogocajonym w paznokcie kurzego plodu”.

Inny z wynalazców, który również osobiście przyszedł do Urzędu Patentowego, zgłosił rewelacyjny wynalazek urządzenia do bezkrwawego polowania na zwierzęta lądowe i morskie. Wynalazek zdaniem twórcy, jest uniwersalny, można za jego pomocą łowić zarówno lwy jak i wieloryby. Chodzi po prostu tylko o to, żeby zmusić je do wejścia do specjalnych zespolonych klatek. Ow wynalazca lwa wprowadzić nie widział, nawet w Zoo, za to jak z dumą oświadczył polował na zajace.

ANDRZEJ WOZNIK

Rys. S. BERDAK

ANKIETA

(Dokończenie ze str. 2)

we, zawierające zespół głośników o b. szerokiej skali odtwarzania dźwięków, ewentualnie aparaty w częściach, składające się z małego odbiornika, gramofonu elektrycznego, ew. magnetofonu i zespołu głośników rozmieszczonych odpowiednio w pokoju w celu uzyskania przestrzenności (stereofonii) dźwięku.

Z drugiej strony — będziemy nosić w kieszeniach odbiorniki z elementów półprzewodnikowych (transistory), wielkości pudełka zapalnek, aby w każdej okoliczności życiowej wiedzieć na czas kto komu i ile strzelił goli...

Televizja barwna wyprze oczywiście telewizję czarno-białą. W kilku wielkich państwach (Stany Zjednoczone, ZSRR, Anglia) problem telewizji kolorowej jest już rozwiązany. Jest ona jednak trzykrotnie droższa od telewizji czarno-białej.

Televizja kolorowa polega na przekazaniu trzech obrazów w barwach zasadniczych. Znalaziono tu interesujące rozwiązanie konstrukcyjne, stosując niedawno stworzoną przez matematyków teorię informacji. Pozwoliła ona na przesłanie zwiększonej ilości informacji o obrazie barwnym, tym samym pasmem częstotliwości, co w telewizji zwykłej. Dzięki temu: konstrukcja jest prostsza, stacja kolorowa nie zajmuje więcej miejsca w „eterze” niż zwykła, wreszcie można zwykłym aparatem odbierać stację kolorową oczywiście z obrazem biało-czarnym.

Przyszłościowy odbiornik telewizyjny wyobrażam sobie w postaci obrazu wiszącego na ścianie. Przez otwory w bocznych ramach będzie się wydobywać głos towarzyszący kolorowemu obrazowi. W dolnej ramie znajdzie się kilka klawiszy do obsługi aparatu. Siedząc w wygodnym fotelu będziemy mieć w rękach małe pudełeczko, pozwalające nam na zdalne nastawianie odbiornika bez potrzeby ruszania się z miejsca...

Inż. KAZIMIERZ MARCINKOWSKI — przewodn. Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Komunikacji

Na przyszłość spraw komunikacji w naszym kraju zapatrzyć się raczej pesymistycznie, ponieważ u nas nie docenia się problemu dróg. Przewiduję natomiast duże postępy w technice porozumiewania się ludzi ze sobą na wielkie odległości (toteż można podciągnąć pod zagadnienie komunikacji). Przewiduję pewien zmierzch kolei w ruchu towarowym na rzecz trakcji samochodowej. Natomiast uważam, że wbrew rozpowszechnionemu mniemaniu nie może być mowy o zmierzchu tramwaju w mieście. W dziedzinie komunikacji morskiej widzę przyszłość dla statków o napędzie atomowym. Jeśli chodzi o sprawę dróg u nas w Polsce, to przewiduję postęp techniczny przy uzdatnianiu naszych smół krajowych, których mamy dużo. Smoły te zastąpią nam asfalt, którego nie posiadamy.

ROMAN PTAK — tzw. szary człowiek

Jestem zupełnym laikiem jeśli chodzi o sprawy techniki, ale może właśnie dlatego warszawska Wystawa Tworzyw i Włókien Sztucznych, otwarta przed kilkoma dniami w Muzeum Techniki, zrobiła na mnie tak wielkie wrażenie. Tworzywa sztuczne — to materiał przyszłości. Panie, czego to się nie robi i nie będzie robić z tych tworzyw... Od serwetki na stolik do całego domu wytłaczanego z plastiku... Od gazowych pończoszek powiewnych jak marzenie — do kół zębatych w ciężkich maszynach. A jaka różnorodność tkanin sztucznych... Najbardziej nowoczesne włókna robi się z tzw. terylenu. Z tego to terylenu robi się tzw. orlon, który na Zachodzie stanowi istny szlagier przemysłu odzie-

żowego. Materiały z orlonu są absolutnie nie do zdarcia i zupełnie się nie mni! Takie będzie chyba ubranie człowieka przyszłości. Właściwie całe życie oprze się na różnych plastikach. Z plastików będzie się robić kombinезony dla podróżników międzyplanetarnych, wnętrza rakiet itp., tak jak się już z nich robi karoserie samochodowe, guziki albo popielniczki... Plasterki znajdują też wielkie zastosowanie w technice drukarskiej (tzw. astralon do druku map), w przemyśle lotniczym (specjalne kleje), — jednym słowem w każdej dziedzinie życia ludzkiego. Nie chciałbym jednak flirtować z plastikowym kociakiem. Wolę żywego.

Prof. dr JANUSZ SUPNIEWSKI — kierownik Zakładu Farmakologii A. M.

Na wstępie chciałbym podkreślić, że wszelkie prorocтва są niebezpieczne, gdyż powodują u ludzi obudzenie się często zwodniczych nadziei. Pionierski okres jednostkowych odkryć już się zakończył. Wkroczyliśmy w stadium żmudnej pracy zespołowej polegającej na gromadzeniu faktów i wyciąganiu wniosków. Dotychczas ofensywa badań eksperymentalnej terapii była skierowana głównie przeciwko chorobom zakaźnym, co dało wspaniałe wyniki w postaci odkrycia szeregu przeciwbakteryjnych leków syntetycznych i antybiotyków. W wyniku tych prac np. śmiertelność z powodu gruźlicy zaczyna się u nas odsuwać na dalszy plan: na Zachodzie gruźlica stała się już problemem trzecio lub może nawet ósmiorzędny. Podobnie tyfus plamisty lub dezenteria nie są już żadnymi problemami. To samo można powiedzieć w odniesieniu do dżumy, która w średniowieczu powodowała wymieranie niemal całych miast. Jednym słowem w chwili obecnej choroby zakaźne są w stadium opanowywania. Wskutek tego nauka interesuje się obecnie

coraz bardziej chorobami związanymi z podeszłym wiekiem. Odpowiednie przepisy dietetyczne oraz nowe leki spowodują cofnięcie się liczby zgonów wywołanych miażdżycą. To jest b. ważne, gdyż choroba ta zaczęła się ostatnio wysuwać na jedno z naczelnych miejsc jako przyczyna śmierci u ludzi. Również bardzo intensywnie rozwijają się badania związane ze zwalczaniem nowotworów złośliwych, które obecnie coraz bardziej wysuwają się na pierwsze miejsce jako przyczyna zgonów na świecie. Walka z nowotworami jest trudna. Wynaleziono już szereg związków chemicznych, które dają wyleczenia nowotworów u zwierząt, jednak stosowanie ich u ludzi jest z powodu ich toksyczności b. ograniczone. Stosowanie ich u ludzi dało już wyniki w zakresie przedłużania życia chorych. Zawdzięczamy to środkom antymiotycznym czyli hamującym podział komórek, następnie izotopom promieniotwórczym działającym podobnie oraz wreszcie chirurgii. Zmniejsza się wybitnie śmiertelność spowodowana ostrym goścem stawowym dzięki stosowaniu w początkowych stadiach choroby leków antybakteryjnych oraz hormonów kory nadnerczy.

Nerwowe warunki dzisiejszego życia prowadzą do szeregu chorób umysłowych oraz schorzeń układu krążeniowego (nadcisnienie). Zapewne też na tym tle powstają takie choroby, jak wrzód żołądka czy dwunastnicy. W tym zakresie wynaleziono liczną grupę środków uspakajających czynności mózgu (m. in. Reserpine, Largactil, Miltown itp.). Szereg wykrytych związków chemicznych działa dodatkowo w tych chorobach i prowadzi do okresowej poprawy, a nawet do wyleczenia klinicznego.

Dr WINCENTY WRÓBLEWSKI, lekarz-chirurga

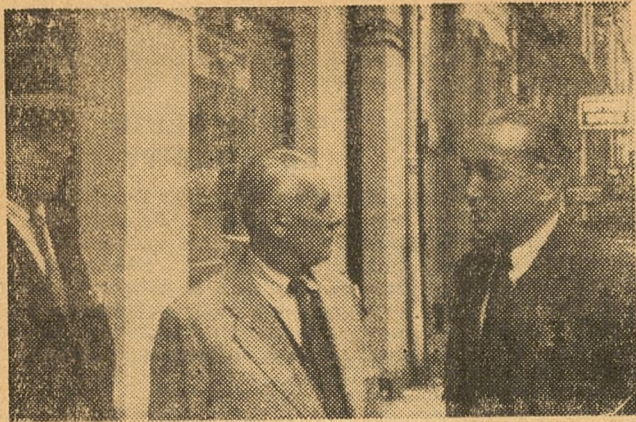
Prorocтва na dalszą metę są trudne. My lekarze jesteśmy realistami. W każdym razie uważam za niereal-

ne wyłączenie roli człowieka-operatora przy zabiegu operacyjnym, tak jak nam to czasem sugerują autorzy fantastycznych powieści. Przewiduję natomiast ogromny postęp w technice wyposażenia chirurga. Na pierwszym planie stawiam kwestię aparatów rejestrujących stan chorego przed i w czasie operacji. Te sprawy są obecnie w stadium rozpracowywania. Przewiduję też wielki postęp w anestezjologii czyli znieczulaniu, zarówno w użyciu nowych środków jak i nowych aparatów. Myślę też, że znacznie więcej będzie się bawo w na badaniach fizjologicznych i chemicznych. Nie bardzo wydaje mi się realne użycie ultradźwięków zamiast noża. Sprawa ta w tej chwili nie została jeszcze rozpracowana, choć w zasadzie uważam to za możliwe. Jakichś nadzwyczajnych cudów w każdym razie sobie nie wyobrażam. Przewiduję w przyszłości większe wykorzystanie w chirurgii pierwiastków promieniotwórczych do diagnostyki i w mniejszym stopniu do terapii. Na Zachodzie są już dziś w użyciu lampy operacyjne, w których się znajdują kamery fotograficzne oraz telewizyjne. Przebieg operacji mogą śledzić na ekranie studentci zebrani w oddzielnej sali... Jeśli chodzi o nasze krakowskie podwórko, to taką lampę z kamerą fotograficzną otrzyma prawdopodobnie Klinika Neurochirurgiczna, a są starania o wprowadzenie do Polski lampy z telewizją.

Rozmowy przeprowadził

Stanisław PAGACZEWSKI

P. S. Wracając po przeprowadzeniu tych rozmów do domu omal nie udusiłem się w potwornie przepelnionym tramwaju. Od zupełnego załamania się chroniła mnie jednak świadomość, że za 10 do 20 lat będziemy jeździć krakowskimi tramwajami trochę wygodnie. Może bowiem dostaniemy do tego czasu kilka nowych wozów... (St. Pag.)



Prof. dr inż.

TADEUSZ KOCHMAŃSKI

mówi o:

- ❶ XI MIĘDZYNARODOWYM ZJEZDZIE GEODEZYJNO-GEOFIZYCZNYM W TORONTO (Kanada)
- ❷ IMPORCIE NAUKOWCÓW Z EUROPY
- ❸ EMIGRACJI POLSKIEJ

— Dość niemiłe wrażenie wywarła na mnie sama organizacja Zjazdu. Worew bowiem dotychczasowym tradycjom międzynarodowych zjazdów naukowych — w Toronto językiem obowiązującym zjazdu był wyłącznie język angielski. Nie było również tłumaczy. Fakt ten — moim zdaniem — odbił się ujemnie na pracach i wynikach Zjazdu, ponieważ uczeni nie posiadający w dostatecznej mierze czynnego opanowania języka angielskiego i wobec braku tłumaczy, skazani byli właściwie na... milczenie. W ten sposób wiele ciekawych zagadnień, referatów i poglądów nie wzbogaciło problematyki naukowej Zjazdu.

Ten mankament organizacyjny Zjazdu wprowadzony — jak mi się wydaje — świadomie przez organizatorów, wywołał dość duże zdziwienie szczególnie wśród uczestników przedostatniego Zjazdu w Rzymie, gdzie panowała prawdziwa atmosfera naukowej współpracy międzynarodowej (obradę toczyły się w czterech językach), a organizatorzy stanęli na wysokości zadania.

W referatach naukowych poruszono wspólnie dla geodetów całego świata zagadnienie badania figury Ziemi dokonywane w poszczególnych krajach i punktach.

Najwięcej uwagi poświęcono satelitom Ziemi przy pomocy których można przeprowadzić doskonale badania figury Ziemi. Dokładne bowiem zdjęcia satelity dokonane z poszczególnych punktów Ziemi w ściśle określonym czasie pozwalają na określenie własnego położenia na ziemi i kształtu Ziemi.

— Jacy uczeni cieszyli się największym autorytetem na Zjeździe?

— Bardzo wysoką ocenę i prawdziwy szacunek zaskarбили sobie uczeni radzieccy. W oficjalnym biuletynie sprawozdawczym Zjazdu referent prof. Kneissel (NRF) podkreślił mistrzowską organizację, wysokie walory naukowego planowania i realizacji, a ponadto jednorodność i nadzwyczaj wyrównany poziom prac geodezyjnych na terenie ZSRR. Padły również słowa uznania pod adresem naszych osiągnięć, szczególnie za dziedzinę techniki rachunkowej i algebry jądrowej. To dorobek oryginalnie polski, który należałoby rozreklamować w świecie.

Bezpośrednią korzyścią wyniesioną ze Zjazdu jest uzyskanie zgody na zorganizowanie w Krakowie w roku 1959 Zjazdu permanentnej Roboczej Komisji Geodetów oraz serdeczny kontakt, jaki nawiązała delegacja polska z wybitnym uczyonym, Polakiem, inż. Blachutem, którego władze kanadyjskie ściągnęły ze Szwajcarii do Ottawy.

Inż. Blachut na nasze zaproszenie przyjedzie do Polski i swoimi odczytami zapozna naukowców w kraju z najnowszymi osiągnięciami nauki światowej.

— Czy pozyskanie przez Kanadę inż. Blachuta — z uwagi na jego nieprzeciętny autorytet naukowy — jest zjawiskiem odosobnionym?

— W Kanadzie jest wysoka stopa życiowa, a równocześnie brak chętnych...

nych... do szkół wyższych. Odczuwa się więc brak naukowców i inżynierów, których sprowadza się z Europy. Import „mózgów” z Europy do Kanady jest zjawiskiem znanym i rozpowszechnionym. Widocznie dobrobyt hamuje, a niekiedy i paraliżuje wysiłek ludzki potrzebny do zdobycia wykształcenia wyższego.

— A może jeszcze parę słów o ogólnych wrażeniach, jakie Pan wywiózł z Kanady?

— Zadziwił mnie fakt, że Kanadyjczycy nie dbają o piękno. Zwracają natomiast wielką uwagę na sprawne funkcjonowanie wszelkich zdobyczy cywilizacyjnych.

Mają wspaniałe telewizory, ale ich program niezwykle prymitywny, banalny i z reguły wulgarny — jest nie do przyjęcia przez Europejczyka. Nie mówię już o „zaletach” wychowawczych programów telewizyjnych i ich skutkach.

Miasta są brzydkie, domki standardowe i wszystkie podobne do siebie, ale standard życiowy bardzo wysoki.

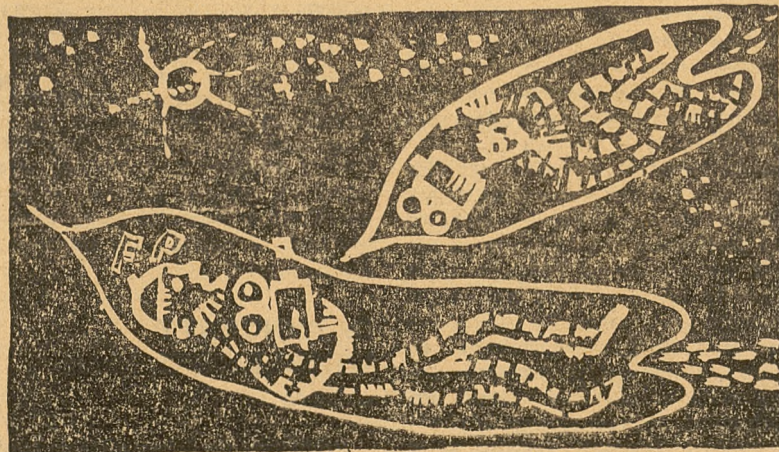
Kanadyjczycy są niezwykle energiczni i na każdym kroku posługują się naukową organizacją pracy, co prowadzi do wysokiej wydajności pracy i do dobrobytu. Tego powinniśmy się od nich nauczyć.

— Jakie były pana kontakty z emigracją polską?

— Byliśmy podejmowani przez Polonię kanadyjską niezwykle życzliwie i serdecznie. Mam na myśli jednak tylko emigrację wojenną względnie powojenną. Ta — tęskni za krajem, interesuje się drobiazgowo wszelkimi przejawami naszego życia i oddycha prawie jednym rytmem z nami.

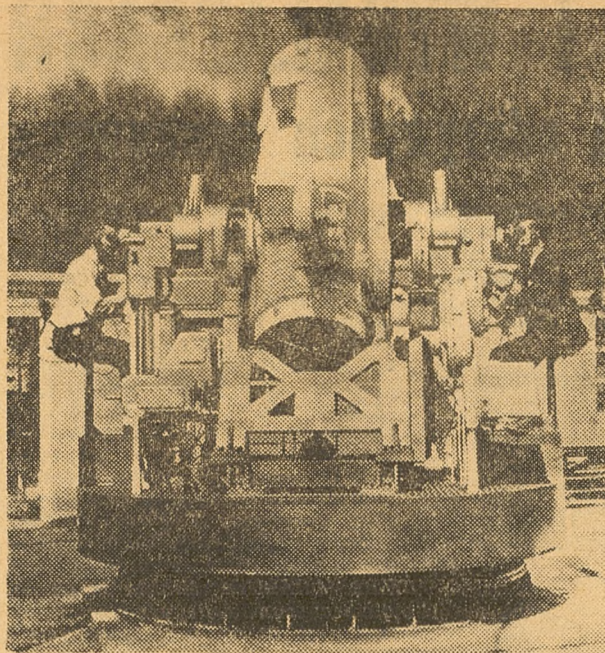
Ludzie ci pragną wrócić do kraju, natomiast emigracja stara nie okazała zainteresowania naszym przyjazdem, nie przybyła na spotkanie, a w wielu wypadkach nie przyznaje się nawet do pochodzenia polskiego. W tym drugim wypadku więzy z krajem są właściwie zerwane.

Rozmowę przeprowadził:
MIKOŁAJ KUPLOWSKI



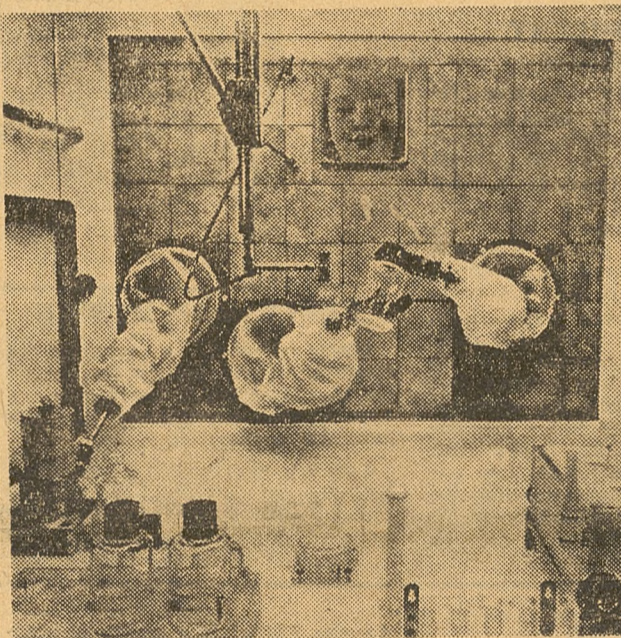
— NO, FILM SIĘ NAM UDAL, TYLKO JAK WRACAĆ NA ZIEMIĘ
RYS. J. NAPIERACZ

CZŁONKOWIE DELEGACJI POLSKIEJ:
PROF. PROF. OLCZAK, LAMBOR,
KOCHMAŃSKI — (stoją od lewej do prawej)



KOŁOSALNA KAMERA ASTRONOMICZNA na Florydzie skonstruowana specjalnie do obserwacji rakiet i sztucznych satelitów. Kamera wykonuje 60 zdjęć na sekundę. Amerykanie przy pomocy tego aparatu śledzić będą lot swoich rakiet „Atlas”, który ma mieć zasięg 8 tysięcy kilometrów i „Thora” o zasięgu 2 tys. km.

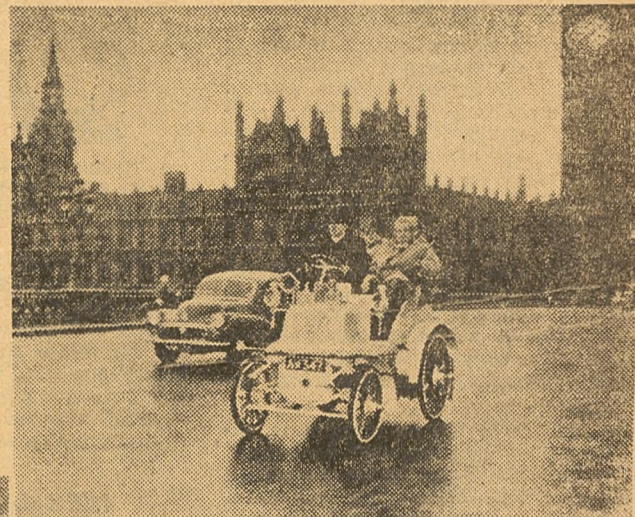
„SZTUCZNE RĘCE”. Takimi manipulatorami posługują się chemicy w nowoczesnych laboratoriach, w których mają do czynienia z substancjami radioaktywnymi. „Sztuczne ręce” są również precyzyjne jak prawdziwe, ludzkie.



NOWOSCI TECHNIKI



DEFILADA STARYCH SAMOCHODÓW odbyła się w pierwszych dniach listopada w Londynie. Oto jeden z okazów. Jeszcze stosunkowo niedawno, bo zaledwie 50 lat temu ten „okaz” uchodził za szczyt nowoczesnej techniki.



FANTASTYCZNE ODKRYCIE NA SYCYLII. Odkryto mianowicie szczątki wspaniałego miasta — państwa Morgantiny, które popadło w ruinę za czasów republiki rzymskiej. Oto wspaniała ceramika Morgantiny.



JEDZIEMY NA WENUS

Ciekawy wywiad z prof. dr Kurtem Maetzigiem, reżyserem filmu „Planeta śmierci” zamieszcza nr 45 „Neue Berliner Illustrierte”. Autorem powieści, służącej za podstawę do scenariusza, jest znany pisarz Stanisław Lem. Prace nad realizacją filmu rozpoczną się jeszcze w tym roku. Przytaczamy skrót tego wywiadu.

— Czemu spośród tak bogatej literatury fantastycznej wybrałście właśnie powieść Lema?

— Powieść bazuje na stanie dzisiejszej wiedzy i ze względu na tę cechę należy ją zaliczyć do powieści fantastycznych typu realistycznego.

Powieść Lema ukazuje perspektywę rozwoju nauki. Także i inny jej aspekt jest bardzo interesujący: pokazany jest w niej problem międzynarodowej solidarności uczonych. Mamy tu więc nie tylko model przyszłości w świecie techniki ale także w sprawie współzycia ludzi. Jest to model, do którego chcemy dążyć.

— Słyszeliśmy, że oprócz DEFY w realizacji filmu mają wziąć udział także inne towarzystwa filmowe?

— Istotnie. Film ma powstać w wyniku współpracy z Filmem Polskim i jednym z francuskich towarzystw filmowych.

— Co decyduje o specjalności tego filmu?

— Główny temat filmu to przyjacielska współpraca międzynarodowa. Film wymaga zbyt wiele wkładu technicznego, jak na jeden kraj. Technika filmowa i artyści z krajów współdziałających nad realizacją filmu, połączą swe wysiłki, aby uczynić go jak najciekawszym.

— Z głosów prasowych wynikałoby, że jest to najtrudniejszy do realizacji film z produkowanych dotychczas przez DEFE.

— To dotyczy nie tylko artystycznych wartości filmu (o czym zresztą decydować będą widzowie i krytycy). Stwierdzenie, że jest to film bardzo trudny, polega na tym, że realizacja jego wymaga wielkiego wysiłku przy pracach technicznych, dekoracjach, kolorach, chwytach technicznych i wykonywaniu skomplikowanych zdjęć. Zobrazować to może fragmentarycznie taki przykład, że rakietą skonstruowaną dla potrzeb filmu jest wysoka na 90 m. Nasza dotychczasowa technika filmowa

wymaga w związku z „Planetą śmierci” rozwinięcia, musimy porobić nowe doświadczenia w technice zdjęć. Część akcji filmu rozgrywa się na Venus, w zupełnie obcym świecie, wśród obcej techniki.

— Gdzie i jak długo będzie kręcony film?

— Mniej więcej rok. Kręcić będziemy go częściowo we Wrocławiu, częściowo w Babelsbergu. Tam, gdzie wymaga tego sytuacja, będziemy kręcić najprawdopodobniej na Saharze.

— Jacy artyści wystąpią w filmie?

— Dziś możemy powiedzieć tylko, że główne role będą grać artyści: indyjski, radziecki, chiński, amerykański, Francuzki, Polak, Murzyn i Niemiec. Także i w tym znajdzie wyraz idea solidarności uczonych wszystkich krajów.

— Radzieckie osiągnięcia ostatnich czasów (satelity) zbliżają fantazję do rzeczywistości. Czy te właśnie osiągnięcia będą jakoś w filmie pokazane?

— Bezwarunkowo tak. Będą ukazane bezpośrednio poprzez pokazanie nowej techniki, w filmie. Pośrednio wyjdzie szczególnie mocno znaczenie sputników. W wielu krajach wiedziano przecież, że czegoś takiego można dokonać, ale uważano to jednak za fantazję. Wielu ludzi sądziło jeszcze przed miesiącem, że możliwość, którą realizuje już sputnik, należy zaliczyć do bajek. Teraz też nie będą widzowie patrzyli na film jak na jakąś abstrakcję, baśń. Można powiedzieć, że sputnik powoduje, że film stanie się wdzięcznym i ciekawym dla ludzi widowiskiem.

„HAMUŁY MOTORYZACJI“

Przed wielu laty, zdaje się Julian Przybóś, znakomity poeta awangardysta nazywał innego poetę „chamulą poezji“. Od tego czasu przyjęło się to nowe słowo w słownictwie polskich warstw „oświeconych“, zrobiło wcale trwałą karierę. Ze względu jednak na jego brzmienie pozwolił sobie — w związku z tematem dzisiejszego felietonu — zaproponować nową nazwę dla pewnego rodzaju indywidualności na kółkach, a mianowicie HAMUŁY MOTORYZACJI. „Hamuły“ przez samo „h“ w celu bezpośredniego nawiązania do „hamulca“, od którego zresztą urobila polska ulica inny neologizm dla określenia szoferów odznaczających się specjalnie plugawym obejściem: chamulec.

Od szeregu bowiem miesięcy, z dość dużą dokładnością powtarzają się identyczne niemal zdarzenia, których bohaterami są kierowcy, głównie właściciele aut osobowych.



Wszystko należy rozważać racjonalnie. Spróbujmy znaleźć jakieś punkty usprawiedliwające. Punkt pierwszy: samochód w Polsce jest luksusem, nawet dla osób bardzo zamożnych. Otrzymanie talonu wymaga przewyciężenia wiadomych trudności. Stąd zrozumiała troska o wóz, strach przed zniszczeniem — bo to jednak ciężkie pieniądze. Punkt drugi: zobojętnienie na nieszczęście ludzkie postępuje w miarę narastania ich. Wychodzić można bowiem z założenia, że im więcej jest ludzi nieszczęśliwych — tym trudniej im pomóc. Rozumowanie to rozciąga się mechanicznie także na krew na drogach, której leje się w Polsce tak bardzo wiele, o wiele za wiele. Pewien facet, zażywny i bezczelny cynik na stanowisku powiedział mi, gdy go zagadnął o ten temat: chłopie, gdybym chciał zabierać wszystkich, których by zabrać należało — musiałbym zmienić wóz w karetkę, a sam siebie w taksówkarza.

Przypomina mi się tu także pewien fragment z nowej powieści, jeszcze po polsku nie wydanej, pióra Haliny Nikołajewej pt. „Bitwa w drodze“ (można także przetłumaczyć jako „Bitwa w marszu“). Jeden z bohaterów tej powieści, sekretarz rejkomu. Kurganow objężdża kotchozy. Jest zima, zadymka, mróz. Samochód mija zziębniętą kotchożnicę ciągnącą na małych saneczkach chleb. W wozie są tylko dwie osoby, szofer i sekretarz. Sekretarz chce zabrać kobietę, ale kierowca reflektuje go słowami: „wszystkich nie zabierzesz“. Szofer od razu uogólnił, „umasowił“ zjawisko. I sekretarz, człowiek niezły, zgodził się z kierowcą. No, ale swoją drogą — co innego zdrowa kobieta na śniegu, a co innego umierający człowiek na szosie. Tam można tylko mówić o obojętności — tu już o kompletnym zbydlęceniu.

Dlaczegoż poruszam ten temat? Rubryka moja nosi stałą nazwę, „Obyczaje“ — a czyż temat tu zawarty, choć na pewno nie fundamentalny dla istnienia kraju i jego rozwoju — nie wart jest zastanowienia? Moim zdaniem wart. Moim zdaniem trzeba pomyśleć o tym, żeby karać uchylających się od niesienia pomocy ludziom o zagrożonym życiu — tak samo jak za spowodowanie wypadku. Istnieje w kodeksie karnym sformułowanie prawnicze „za działanie lub zaniechanie działania“, sądzę więc, że nie wystarczy wymienić w audycji radiowej numeru wozu, który pozostawił krwawiącego człowieka na jezdni. Ze trzeba żądać kary. Surowej kary. Co do mnie — gdybym był przy takim wypadku, gdybym widział faceta, którego proszą o pomoc, a który jej bezczelnie odmawia — dałbym mu w pysk.

Nie chcę, żeby mnie Czytelnicy źle rozumieli. Nie występuję przeciwko posiadaczom samochodów w ogóle. Chociaż, gdybym potrafił pewnym ludziom udowodnić, że pieniądze przyszły do nich wątpliwymi drogami — uczyniłbym to. Nie jestem jednak, niestety detektywem, nie mam uprawnień funkcjonariusza milicji ani MSW. Mam natomiast instrument zwany potocznie „czułym sumieniem“ i doprawdy krew mnie zalewa, gdy obserwuję rozrastające się chamstwo. Nie tylko zresztą wśród prywatnych samochodziarzy.

Kiedyś publicysta „Nowej Kultury“, Andrzej Braun, doszedł do wniosku, że zdenerwowanie i chamstwo obywateli w Polsce Ludowej spowodowane jest biedą i trudnymi warunkami życia i pracy, więc także mściwością i zawiścią „biolo-

giczna“ jak to znów określa pewien krakowski ekonomista. Ludzie zarabiający grosze, nie wiedzący jak związać koniec z końcem mogą mieć poszarpane nerwy i nie umieć zdobywać się na przesadną grzeczność i uprzejmość. Ale to są — jak pisał Dostojewski „biedni ludzie“, ja zaś piszę tu głównie o tych, którzy biedę znają chyba tylko z lektury. I zastanawiam się — dlaczego sytość idzie zawsze niemal w parze z pogardą dla cudzego nieszczęścia.

Pamiętamy przedwojennych panów, wycylindrzonych, wyfraczonych, spoglądających na nędzny tłum przez szyby swoich aut albo z wyżyna prywatnych fiaków. Mordy ich były zupełnie obce tłumowi, nie widziały tiumu lub traktowały go wyłącznie jako tło w pejzażu miejskim, jako coś nieodłącznego od ustroju, od państwa, od egzystencji narodowej. Lecz do nich nikt z „nizin“ nie zwróciłby się nawet o pomoc w nagłym wypadku. Stanowili regularną zgraję, dla której niedole motłochu stanowiły coś w rodzaju „muzyki sfer“ — rzecz o której się niby wie, ale w istocie ma się w głębokim lekceważeniu. Ale dziś ludzie ci zniknęli jako klasa. Dziś samochody posiadają także inni, którym się w życiu powiodło. Skąd więc to masowe zjawisko pogardy, lekceważenia i ucieczki przed „zbrukaniem“ siedzeń swoich wozów?

Przypomina mi się tu także pewien fragment z nowej powieści, jeszcze po polsku nie wydanej, pióra Haliny Nikołajewej pt. „Bitwa w drodze“ (można także przetłumaczyć jako „Bitwa w marszu“). Jeden z bohaterów tej powieści, sekretarz rejkomu. Kurganow objężdża kotchozy. Jest zima, zadymka, mróz. Samochód mija zziębniętą kotchożnicę ciągnącą na małych saneczkach chleb. W wozie są tylko dwie osoby, szofer i sekretarz. Sekretarz chce zabrać kobietę, ale kierowca reflektuje go słowami: „wszystkich nie zabierzesz“. Szofer od razu uogólnił, „umasowił“ zjawisko. I sekretarz, człowiek niezły, zgodził się z kierowcą. No, ale swoją drogą — co innego zdrowa kobieta na śniegu, a co innego umierający człowiek na szosie. Tam można tylko mówić o obojętności — tu już o kompletnym zbydlęceniu.

Dlaczegoż poruszam ten temat? Rubryka moja nosi stałą nazwę, „Obyczaje“ — a czyż temat tu zawarty, choć na pewno nie fundamentalny dla istnienia kraju i jego rozwoju — nie wart jest zastanowienia? Moim zdaniem wart. Moim zdaniem trzeba pomyśleć o tym, żeby karać uchylających się od niesienia pomocy ludziom o zagrożonym życiu — tak samo jak za spowodowanie wypadku. Istnieje w kodeksie karnym sformułowanie prawnicze „za działanie lub zaniechanie działania“, sądzę więc, że nie wystarczy wymienić w audycji radiowej numeru wozu, który pozostawił krwawiącego człowieka na jezdni. Ze trzeba żądać kary. Surowej kary. Co do mnie — gdybym był przy takim wypadku, gdybym widział faceta, którego proszą o pomoc, a który jej bezczelnie odmawia — dałbym mu w pysk.

Nie chcę, żeby mnie Czytelnicy źle rozumieli. Nie występuję przeciwko posiadaczom samochodów w ogóle. Chociaż, gdybym potrafił pewnym ludziom udowodnić, że pieniądze przyszły do nich wątpliwymi drogami — uczyniłbym to. Nie jestem jednak, niestety detektywem, nie mam uprawnień funkcjonariusza milicji ani MSW. Mam natomiast instrument zwany potocznie „czułym sumieniem“ i doprawdy krew mnie zalewa, gdy obserwuję rozrastające się chamstwo. Nie tylko zresztą wśród prywatnych samochodziarzy.

Kiedyś publicysta „Nowej Kultury“, Andrzej Braun, doszedł do wniosku, że zdenerwowanie i chamstwo obywateli w Polsce Ludowej spowodowane jest biedą i trudnymi warunkami życia i pracy, więc także mściwością i zawiścią „biolo-

BOHDAN DROZDOWSKI

szą kobietę, a brzydszą zostawia na drodze.

Kawalec ma jedną wielką zaletę — nie jest przegadany. Jego nowelki króciutkie i treściwe, nie zawsze oparte na jakimś spleciu fabularnym — są jak dobre wier-

KSIAŻKI

sze liryczne. Ostatnie opowiadanie pt. „Bartłomiej“ jest przykładem dobrej prozy refleksyjnej, w której żadnych spójnych dostrzec wprawdzie nie możemy, ale sam opis miasta, pojęcia dziecka jakim operuje ono patrząc na Nową Hutę, są urzekające.

Dr GUSTAW GROEGER

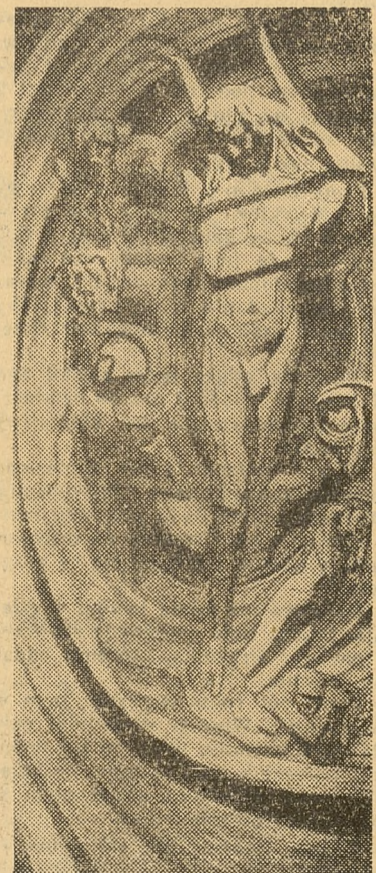
WITRAŻE WYSPIAŃSKIEGO



„CARITAS“



„POLONIA“



„APOLLO SPĘTANY“

W PRZEDDZIEŃ OTWARCIA WYSTAWY W MUZEUM NARODOWYM
W KRAKOWIE W 50-LECIE ŚMIERCI ST. WYSPIAŃSKIEGO

Stanisław Wyspiański fenomenalny artysta-plastyk, malarz i równocześnie poeta, był właściwie przede wszystkim wielkim genialnym malarzem, a dopiero potem, w „drugiej linii“ — wielkim poetą dramatycznym, zaliczanym przez wielu do naszych wieszców narodowych.

Dopiero po kilku latach nadaremnej walki o realizację swych wielkich wizji malarsko-witrażowych, widząc niezrozumienie i obojętność społeczeństwa krakowskiego wobec jego wizji malarsko-witrażowych, widząc, że malarstwo nie daje mu środków utrzymania — przerzucił się, z konieczności, Wyspiański na twórczość poetycko-dramatyczną.

Malarska twórczość Wyspiańskiego mieszcząca się w ramach zaledwie dziesięciu lat jego pracy twórczej jest olbrzymia. Liczyć ją można na przeszło tysiąc sztuk obrazów i rysunków. Wyspiański był to tytan pracy, podobnie zresztą jak jego mistrz, który na niego wielki wpływ wywarł — Matejko.

Dlatego będzie z wielkim pożytkiem z wielkiej twórczości Wyspiańskiego zestawić sobie choćby główne jego dzieła plastyczne, tj. witraże, oraz podać przy każdym z nich gdzie ono się obecnie znajduje, i gdzie je można zobaczyć.

W KOŚCIELE MARIACKIM I W SUKIENNICACH

W roku 1891 tworzy Wyspiański wspólnie z Mehoffferem kartony do witraży dla kościoła Mariackiego w Krakowie. Kartony te znajdują się w Muzeum Narodowym w Krakowie. Dopiero po śmierci Wyspiańskiego w latach 1921 do 1923 zostały wedle tych kartonów wykonane witraże w zakładzie witraży S. C. Zelenkiego w Krakowie i osadzone w frontowym oknie kościoła Mariackiego ponad organami, które niestety witraż ten prawie zupełnie zastaniają.

Ich replikę (powtórzenie) umieszczono w oknie klatki schodowej Muzeum Narodowego w Sukiennicach.

„SZPETNE DZIWACTWO“

W roku 1892 otrzymał Wyspiański zamówienie na witraż do katedry we Lwowie, mający przedstawiać „Śluby króla Jana Kazimierza“. Szkic ołówkowy do tego witrażu został uznany przez jury za dobry i nadający się do wykonania. Szkic ten był własnością Feliksa Jasińskiego i powinien znajdować się w Muzeum jego imienia, jako dzieło Muzeum Narodowego w Krakowie.

Wedle tego szkicu namalował Wyspiański w Paryżu w latach 1893—1894 farbami olejnymi projekt witrażu naturalnej wielkości, który wysłał na Wystawę Sztuki Krajowej we Lwowie w roku 1894. Ale tu stała się rzecz nie do wiary. Wprawdzie umieszczono w katalogu wystawy reprodukcję części projektów witraży, mianowicie część zwaną „Polonia“, ale samego projektu nie wyjęto z palci i nie wystawiono. Komitet uznał witraż za „szpetne dziwaństwo, z którym niewiadomo co zrobić“.

Witraże te nie zostały wykonane w szkle, a olbrzymie płótna z projektami witraży znajdują się w Muzeum Narodowym w Krakowie.

400 RENSCHICH

W roku 1895 otrzymał Wyspiański zamówienie na zrobienie polichromii i witraży do kościoła Franciszkanów w Krakowie. Wziął się z zapałem do pracy i wkrótce wykonał polichromię prezbiterium i nawy poprzecznej oraz witraże św. Franciszka i św. Salomei oraz cztery witraże kwiatowe, umieszczone wokół ołtarza głównego i wielki wspaniały witraż, umieszczony na końcu nawy głównej, przedstawiający: „Bóg Ojciec“ czyli „Stworzenie świata“, „Stań się“.

Karton witraża św. Franciszka jest w Zachęcie w Warszawie. Karton św. Salomei był własnością prof. Pareńskiej. Same witraże były robione częściowo w zakładzie witraży w Tyroli (św. Franciszek), a św. Salomea w Krakowie w zakładzie S. C. Zelenkiego.

Witraże franciszkańskie przyniosły Wyspiańskiemu wreszcie uznanie i nagrodę pieniężną w kwocie 400 reńskich austriackich, a w Warszawie 400 rubli.

PUZYNA CONTRA WYSPIAŃSKI

W roku 1901 wykonał Wyspiański dla katedry na Wawelu trzy kartony witraży, a to: Kazimierz Wielki, św. Stanisław i Henryk Pobożny. Kartony te były naj-

wspanialszym wzlotem geniuszu malarskiego Wyspiańskiego i ostatnim wzlotem jego wielkich pomysłów. Witraży dla katedry miało być więcej, ale skoro te, które wykonał, nie znalazły uznania kleru (głównie sprzeciwił się ich wykonaniu w szkle i umieszczeniu w katedrze kardynał Puzyra) — Wyspiański zaniechał dalszej pracy nad witrazami dla katedry. Kartony są w Muzeum Narodowym w Krakowie i za nie otrzymał Wyspiański w 1901 roku nagrodę Akademii Umiejętności z funduszu Barszczewskiego.

APOLLO

W roku 1904 zamówiło u Wyspiańskiego Krakowskie Towarzystwo Lekarskie, dla swego nowego gmachu przy ul. Radziwiłłowskiej, projekt na witraż do klatki schodowej, który miał przedstawiać wielkie odkrycie nauki polskiej, tj. system heliocentryczny Kopernika, który zatrzymał w biegu słońce a puścił w ruch ziemię dookoła słońca. Równocześnie zamówiono u Wyspiańskiego projekty na meble i stolki do czytelnicy oraz projekt na urządzenie balustrady klatki schodowej.

Wyspiański wywiązał się z tego zamówienia po mistrzowsku.

System Kopernika przedstawił symbolicznie jako Apolla skropowanego i dał nam w witrażu pod tytułem „Apollo spętany“ monumentalne dzieło sztuki, które razem z witrazami wawelskimi oraz z witrazem w kościele Franciszkanów „Bóg Ojciec“ czyli „Stworzenie świata“, stanął u zenitu swej sztuki witrażowej.

Efekt kolorystyczny, jaki sprawił witraż, był wspaniały.

Niestety, w roku 1945 Niemcy wysadzając w powietrze most kolejowy przy ul. Kopernika i Radziwiłłowskiej, zniszczyli zupełnie witraż Wyspiańskiego. Ocalały tylko boczne witraże kwiatowe.

Witraż ten powinien być niewątpliwie teraz, w Roku Wyspiańskiego, zrekonstruowany, bo karton do niego się dochował, a zakład witraży Zelenkiego, który witraż wykonał, istnieje nadal w Krakowie.

12 AUTOPORTRETÓW

Co do innych działów twórczości malarskiej Wyspiańskiego, to należy zaznaczyć, że namalował on szereg portretów różnych osób oraz 12 autoportretów, nadto szereg główek dziecięcych i kobiecych, sławne matki karmiące dziecko tzw. „macierzyństwo“, dużo krajobrazów i setki rysunków i studiów oraz projektów ozdobnych czcionek i grafiki książkowej.

Muzeum Narodowe w Krakowie posiada kilkadziesiąt pozycji dzieł Wyspiańskiego.

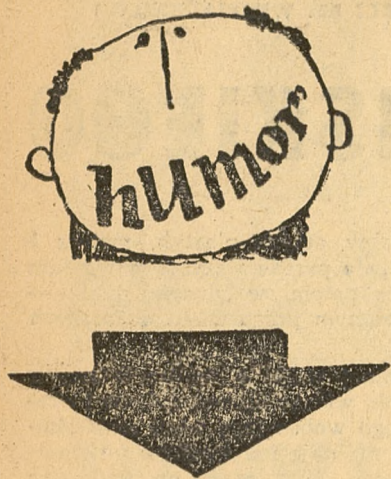
Dokładny przegląd tego wszystkiego da nam dopiero pierwsza ogólnopolska wystawa całej twórczości Wyspiańskiego, która zostanie otwarta za kilka dni w krakowskim Muzeum Narodowym.

Wystawa ta będzie niewątpliwie wielkim zdarzeniem kulturalnym w Krakowie.

Dr GUSTAW GROEGER

TYM, KTÓRZY KOCHAJĄ DZIECI

Ta śliczna książeczka poświęcona jest dzieciom. Czytać ją jednak mogą tylko dorośli. Uderza w tony tradycji, najnowszej wprawdzie, bo stworzonej przez Zukrowskiego i jego „Córce“, ale w tony niezwykle nam bliskie i czyste. Julian Kawalec, autor „Szelek wśród ulic“ pisze o dzieciach nowego miasta. Pisze podchwytliwie, obserwuje, jak zachowują się chłopcy na betonowych chodnikach i w mieszkaniach, gdzie podłogi są parkietowe. To jest bardzo ważny problem — przecież jeszcze parę miesięcy temu mogli rzucić gryzek na trawnik przed swoim domem wiejskim — a teraz muszą go zanieść do kosza na śmieci. Przecież parę miesięcy temu nie znali jeszcze swoich kolegów, którzy wiedzieli od nich więcej, nawet to, dlaczego szofer bierze do auta ładniej-



CZAROWNICA

Pewien reporter amerykański podaje, że w Ugandzie 12 letnia uczennica została oskarżona, że zaczarowała swych kolegów, którzy się z niej naśmiewali. Weszli oni na drzewa, zachowywali się jak małpy i absolutnie nie chcieli wrócić do klasy!

ŚMIAŁA KRADZIEŻ

Do oglądania z góry słynnego kanionu rzeki Colorado służył olbrzymi teleskop. Nieznani sprawcy ukradli go, pozostawiając na jego miejscu przywiązaną sznurkiem małą lupę powiększającą.

MA SIĘ TO PEDIGREE!

Pewien uczony angielski dowiódł, że Karim Khan, przywódca ismaelitów po wielkim Aga Khanie, pochodzi nie tylko wprost od Mahometa, ale że w linii żeńskiej spokrewniony jest z Edwardem III ang., Wilhelmem Zdobywcą, Karolem, Alfredem Wielkim, św. Ludwikiem, św. Małgorzatą i św. Włodzimierzem.

ROBERT LAMOUREUX

opowiada: syu mego przyjaciela przekartkował szybko świeżo kupiony podręcznik hi-

storii Francji i zatrzymuje się dłużej na ostatniej stronie. „Co robisz? pyta go ojciec. „Chciałem tylko zobaczyć, jak się to kończy” odpowiedział chłopczyk.

DZIWNE ŻYCIE

Autor i aktor w jednej osobie, Alfred Adam, opowiada, że jeden z jego znajomych skarżył mu się kiedyś na bardzo dziwny tryb życia swej żony „Do 5-tej nad ranem włoży się po nocnych lokalach! „Czy pije?” zapytał Adam „Nie, szuka za mną”.

J. PIĄTKOWSKI

■ PLOTKI FAKTY ■ PLOTKI ■ FAKTY ■

ZŁOTE RUNO

W Jugosławii znaleziono starożytne dokumenty wskazujące miejsce zakopania przez legionistów rzymskich na terenie Serbii złotych monet. Grupa archeologów udała się na wskazane miejsce i rozpoczęła poszukiwania.

STATYSTYKA MÓWI

Wg danych statystyki oficjalnej, we Włoszech jest:

- 429.000 osób z wyższym wykształceniem,
- 1,367.000 osób ze średnim wykształceniem
- 22.696.000 osób z podstawowym wykształceniem,
- 3.832.000 bez świadectwa ukończenia jakichkolwiek szkół i
- 5.057.035 analfabetów!!

LEPIEJ PÓZNO?

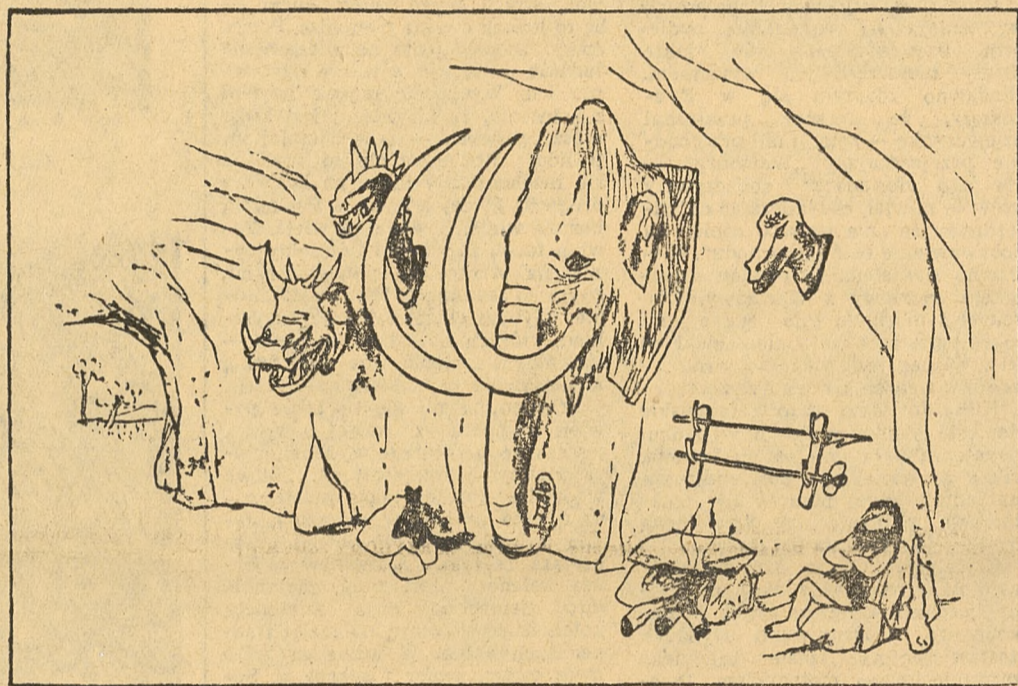
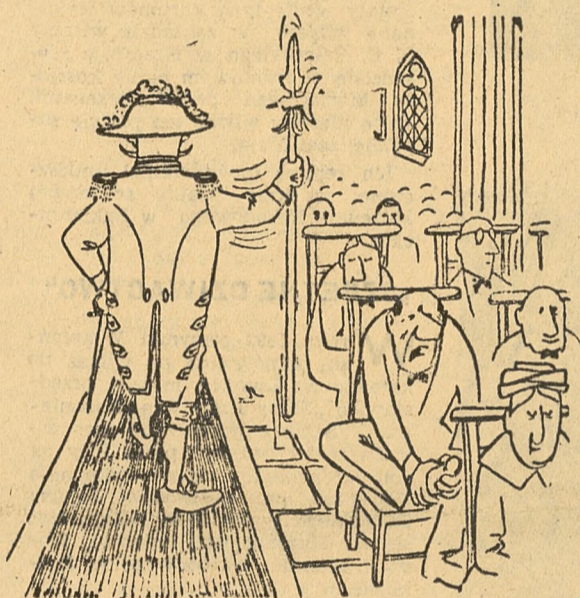
W Portugalii został przewieziony do szpitala żongler Rodriguez Guerra z objawami ostrego zatrucia żołądkowego. Po zastosowaniu przepłukiwań żołądka, „wydał on na świat” 28 monet (będących dziś już poza obiegiem), które spożył kiedyś w czasie swej kariery.

Z ZAGADEK CHIRURGII

W Chicago zmarł niedawno po operacji serca 59-letni Joseph Olson. Ponieważ śmierć jego wydała się żonie podejrzana, zażądała przeprowadzenia sekcji. I cóż się okazało? W żołądku zmarłego znaleziono 30-centymetrowej długości narzędzie chirurgiczne używane przy trudnych porodach! Policja bada okoliczności tego dziwnego przypadku.



HUMOR ZAGRANICZNY



GUY DE MAUPASSANT

SKAZANIEC

Zawieszona na ukwieconej skale, z uczepionymi jej stoków białymi domkami i pałacem książęcym, małe państwo Monaco podlega władcy bardziej niezależnemu od króla Mallicko, bardziej samowolnemu niż JKM Wilhelm Pruski i bardziej ceremonialnemu jak nieboszczyk Ludwik XIV.

Nie obawiając się najazdów ani rewolucji, panuje on nad swym małym szczęśliwym ludkiem wśród dworskiego ceremoniału.

Ma swego generała i 80 żołnierzy, swego biskupa i kler, swego marszałka dworu do wprowadzania ambasadorów i całą masę urzędników o wspaniałych tytułach, których spotyka się zawsze na dworach władców absolutnych, przekonanych o swym majestacie.

Monarcha ten nie jest krwiożerczy ani mściwy, a gdy skazuje kogoś na banicję (bo jednak skazuje na banicję), zarządzenie to jest zawsze wykonane z dużymi względami dla skazanego.

Chećcie przykładów? Pewien zawzięty gracz w dniu złej passy źle się wyraził w Kasynie o władcy. Został za to wygnany z kraju.

Przez miesiąc krążył dokoła zakazanego raję, obawiając się miecza archanioła w postaci żandarma. Pewnego dnia zdobył się wreszcie na odwagę: przekroczył granicę, w pół minuty znalazł się w centrum kraju i szedł do Kasyna. Tam zatrzymał go urzędnik: „Przenaszam, ale czy pan przypadkiem nie został skazany na wygnanie?” „Tak, proszę pana, ale odjeżdżam najbliższym pociągiem”. „A, skoro tak, to proszę pozostać!”

I co tygodnia banita powraca; za każdym razem ten sam urzędnik zadaje mu to samo pytanie, na które on zawsze tak samo odpowiada.

Czyż sprawiedliwość może być łagodniejsza?

Ale w ostatnich latach miał miejsce w księstwie fakt poważny i zupełnie nowy — zabójstwo.

Pewien mężczyzna, obywatel Monako, nie jeden z tych obcokrajowców, których się tyłu spotyka na Wybrzeżu, zamordował w ataku gniewu żonę. Zabił ją bez powodu, bez żadnego usprawiedliwiającego pretekstu.

NOVELA DOTYCHCZAS NIE TŁUMACZONA

W całym państwie zapanowało ogólne oburzenie.

Dla osądzenia tego wyjątkowego wypadku (jeszcze nigdy nie zdarzyło się tu bowiem morderstwo) zebrał się Sąd Najwyższy i nędznik został skazany na śmierć — jednoznacznie!

Poruszony do głębi władca zatwierdził wyrok.

Pozostało tylko wykonać egzekucję. Wówczas to pojawiła się zasadnicza trudność. Kraj nie miał kated ani gilotyny.

Co robić? Na wniosek ministra spraw zagranicznych książę wszczął negocjacje z rządem francuskim o

wypożyczenie ścinacza głów wraz ze sprzętem. Odbływały się długie narady w ministerstwie w Paryżu. Wreszcie w odpowiedzi nadszedł rachunek kosztów przewozu gilotyny i mistrza — na 16 tysięcy franków.

J. Ks. M. uznała, że cena jest zbyt wysoka; morderca na pewno nie był wart tej kwoty. 16 tysięcy franków za głowę jednego głupca! O, nie!

Wystosowano tę samą prośbę do rządu włoskiego, Król nie okazał się zapewne tak wymagający jak republika.

Rząd włoski przysłał w odpowiedzi rachunek na 12 tysięcy franków.

12 tysięcy franków! Trzeba by nałożyć nowy podatek w wysokości 2 franków na głowę. To wystarczy, aby spowodować w kraju nieobliczalne powikłania.

Proponowano ścięcie winowajcy przez zwykłego żołnierza. Ale zapytany o zgodę generał wyznał z wahaniem, że jego wojscy nie mają prawdopodobnie odpowiedniej wprawy we władaniu białą bronią, aby wykonać zadanie wymagające dużej praktyki.

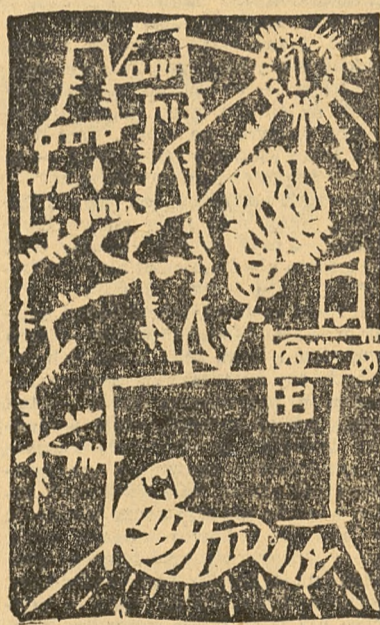
Wówczas książę znów zwołał Sąd Najwyższy i poddał mu do ostatecznego rozstrzygnięcia ten kłopotliwy przypadek.

Długo radzono i nie znaleziono żadnego praktycznego rozwiązania. Wreszcie prezes Sądu podsunął myśl o zamianie kary śmierci na dożywotnie więzienie i propozycję tę przyjęto.

Księstwo nie miało jednak więzienia. Trzeba było dopiero je stworzyć i powołać strażnika, któremu oddano więźnia.

Przez pół roku wszystko było w porządku. Więzień przesyłał cały dzień na sienniku w swym zakamarku, a strażnik robił to samo na krześle przed drzwiami, obserwując w przerwach przechodniów.

Książę jednak był oszczędny — nie wielka to wada — i kazał sobie zawsze przedkładać rachunki ze wszystkich wydatków państwa (lista nie była zresztą długa). Pokazało mu więc i rachunek kosztów



Rys. JERZY NAPIERACZ

stworzenia nowej placówki i urzędu, utrzymania więźnia i strażnika. Ten ostatni dość poważnie obciążał budżet państwowy.

Książę skrzywił się, gdy pomyślał, że to może jeszcze długo trwać, bo skazaniec był młody. Zażądał zatem od ministra finansów wydania zarządzeń mających na celu zmniejszenie tego wydatku.

Minister porozumiał się z prezesem Sądu i ustalili, że zniesie się stanowisko strażnika; więzień zdany na pilnowanie samego siebie na pewno umknie i to będzie najlepsze rozwiązanie sytuacji.

Strażnik powrócił więc na łono rodziny, a pomocnika kucharza z pałacu obarczono po prostu obowiązkiem przynoszenia rano i wieczór posiłków dla więźnia. Ten jednak nie robił żadnych starań o odzyskanie wolności.

Pewnego dnia, gdy zapomniano mu przynieść obiad, ujrano go jak

sam spokojnie po niego poszedł i od tego czasu nabrał zwyczaju — dla oszczędzania kuchcikowi drogi — przychodzenie w porze posiłków do pałacu i zjadania ich razem ze służbą, której stał się wkrótce przyjacielem.

Po śniadaniu szedł na spacer aż do Monte Carlo. Czasem zachodził do Kasyna i stawiał 5 franków. Jeśli wygrał, zjadał dobry obiad w eleganckim hotelu, potem wracał do więzienia, którego drzwi starannie zamykał od wewnątrz.

Ani razu nie spał poza więzieniem.

Sytuacja stawała się kłopotliwa; nie dla więźnia, ale dla sędziów.

Sąd zebrał się raz jeszcze i zdecydował, że poprosi się więźnia o opuszczenie granic państwa. Gdy mu to zakomunikowano, odpowiedział:

„Nie, to już śmieszne! Co mam z sobą począć? Nie mam środków do życia, nie mam rodziny. Co mam robić? Zostałem skazany na śmierć; nie wykonałście wyroku. Nic nie powiedziałem. Zostałem skazany na dożywotnie więzienie i oddany w ręce strażnika; zabraliście mi go. Znowu nic nie powiedziałem. Dziś chcecie mnie wypędzić z więzienia — o, nie! Jestem waszym więźniem, osądzonym i skazanym, odbywam karę lojalnie i pozostanę tutaj!”

Sąd był skonsternowany. Książę wpadł we wściekłość i rozkazał szybko powziąć ostateczną decyzję. Zaczęły się narady. Postanowiono ostatecznie dać więźniowi 600 franków pensji miesięcznej, aby mógł żyć za granicą. Zgodził się.

Wynajął małą siedzibę o 5 minut od Księstwa i żyje tam szczęśliwie, hodując jarzynę.

W archiwach sądowych Księstwa można oglądać przedziwny dokument, w którym państwo wyznacza pensję skazańcowi za opuszczenie ojczyzny. Stwierdza się prawdziwość powyższego w najdrobniejszych szczegółach.

10. IV. 1883.

Tłum. J. Piątkowski



„PAMIĘTIK MAJORA THOMPSONA”



„KAMIENNE HORYZONTY”

CO NOWEGO ZOBACZYMY NA NASZYCH EKRAKACH?

„RAZEM” (tyt. tymcz.) jest filmem o przyjaźni dwóch głuchoniemych dojrzałych, zrealizowanym w Anglii przez reżysera Lorenza Mazzetti z udziałem artystów Michael Andrews i Eduardo Paolozzi. Dramatem miłosnym wg. Nazima Hikmeta jest film produkcji czechosłowackiej pt. „LEGENDA O MIŁOŚCI” reżyserii Vaclava Kraski. Reportażem z Olimpiady będzie film francuski „SPOTKANIE W MELBOURNE” i tej samej produkcji zobaczymy sensacyjno-psychologiczny film pt. „MAŁA, UROCZA PŁAZA” reżyserii Yves Allegrete, a z udziałem Madeleine Robinson i Gerard Philippe. Filmem z tzw. „czarnej serii” jest tytuł „SPRAWIEDLIWOŚCI STAŁO SIĘ ZADOSĆ” reżyserowany przez Andre Cayte, znanego w Polsce z kilku filmów poruszających problemy społeczno-sądowe („Przed potopem” — „Wszystcy jesteśmy mordercami” — „Czarna tecka”). Obyczajowym obrazem o tematyce zaczerpniętej ze starodawnej legendy japońskiej jest film reżyserii Akira Kurosawa pt. „RASHOMON”. Drugim filmem japońskim jest psychologiczna historia o ochotniczych kandydatach na żywe torpedy. Film ten pt. „ZYWE TORPEDY” zrealizował reżyser Takumi Furukawa. Dramatem z okresu okupacji jest jugosłowiański film pt. „WIELCY I MAŁI” (tyt. tymcz.) reżyserii Władimira Pogacina. Słynna powieść Tomasza Manna „Die Bekenntnisse des Hochstap-

lers Felks Krull” posłużyła za kanwę satyrycznej komedii zrealizowanej w NRF przez reżysera Kurta Hoffmanna z udziałem artystów Horst Buchholza i Liselotte Pulver. „PRZYGODY HOCHSZTAPLERA FELKSA KRULLA”. Powieść pisarza islandzkiego Halldora Laxnessa, laureata nagrody Nobla, stała się podstawą filmu obyczajowego pt. „SALKA VALKA”. Produkcja szwedzka,



reżyser Arne Mattson. Z filmów włoskich zobaczymy kolorowy dokument o wyspach Oceanu Spokojnego pt. „ZAGUBIONY KONTYNET” oraz sensacyjny film reżyserii Francesco Masselli’ego „La donna del giorno” (polski tytuł tymcz. „BOHATERKA DNIA”). Obsadę aktorską stanowią Verna Lisi, Antonio Cifariello oraz znana polskiej publiczności z filmu „Wzgórze 24 nie odpowiada” sympatyczna i ładna artystka Izraelska Haya Harari. Poza tym zobaczymy „NEAPOL, MIASTO MILIONA MIESZKAŃCÓW”, komedie filmową o nielegalnym handlu w czasie i po okupacji w reżyserii Eduardo de Filippo.

J. THORWALD

W marcu 1945 linia frontu niemieckiego przebiegała od wyspy Wolin na południe zachodnim brzegiem Odry po ujście Nysy (grupa operacyjna generałobersta Heinrici’ego), po czym rzeką Nysą na Słowację przez góry czeskomorawskie (grupa gen. Schörnera). Armia niemiecka była zdziękowana, brakło broni i amunicji, wśród wojska szczyła się dezercja. W oczach Hitlera, który stracił zupełnie zdolność realnej oceny sytuacji, klęski niemieckie były wynikiem sabotażu oficerów sztabu generalnego — reagował na to wybuchami wściekłości.

Nie mogąc znieść zniewag, jakie stały się udziałem dowódcy armii — gen. Bussego, wystosował Guderian do Hitlera pismo, które zakończył słowami: „Muszę zdecydowanie odrzucić zarzuty, podniesione przeciw dowódcy armii i niemieckim oddziałom”.

Wezwany przez Hitlera do kancelarii Reichu na godzinę 14 dnia 28 marca, Guderian zjawił się tam w towarzystwie gen. Bussego. Hitler nie dopuszczając — jak zwykle — nikogo do głosu, rozpoczął inwektywami, skierowanymi przeciw gen. Bussemu, ale Guderian przerwał mu niemal natychmiast. Głos jego rozbrzmiewał donośnie, zgłaszając słowa Hitlera, który zerwał się nagle na równe nogi. Przez sekundy zdawało się, że rzuci się na Guderiana. Wymiana zdań przekształciła się w ordynarne wypominanie sobie wzajemnych uraz. Hitler napęczniały wściekłością miotał oskarżenia tak szybko, że skamieniałe z wrażeń otoczenie nie potrafiło rozróżnić sensu wyrzucanych słów. Runęły — zdawało się — wszelkie hamulce, jakie jeszcze dotychczas krępowały obu tych ludzi. „Nie potrzebuję więcej żadnego sztabu generalnego” — krzyczał Hitler ochrypiłym głosem. „Sztab generalny jest siedliskiem defetizmu. Tam tkwi cały 20 lipiec...”

Ochłonawszy nieco, wezwał Hitler otoczenie do opuszczenia pomieszczenia — pozostał tylko Guderian i Keitel. Führer podszedł wtedy do Guderiana i rzekł tonem spokojnym, lecz obraźliwym:

— Guderian, pańskie zdrowie wymaga natychmiastowego urlopu. Widzę, że ma pan znowu do czynienia z sercem...

— Melduję rozpoczęcie urlopu — odparkł chłodno Guderian.

Następcą Guderiana został mianowany gen. Krebs, były pomocnik attaché wojskowego w Moskwie.

W 9 dni po upadku Guderiana — dnia 6 IV po południu — w ogrodzie kancelarii Reichu stał gen. Heinrici w oczekiwaniu na rozpoczęcie odprawy sytuacyjnej u Hitlera. Heinrici rozmyślał o położeniu, które było beznadziejne. Trzeba było już walczyć nie tylko o pojedyncze karabiny, ale nawet o łopaty, kilofy, drut kolczasty i gwoździe. Gauleiterzy i komisarze obrony Reichu żyli w świecie odciętym od rzeczywistości. Nie dopuszczali myśli o klęsce, wiedząc, że przegrana jest równoznaczna z ich unicestwieniem. Czepiali się kurczowo komunikatów z kancelarii Reichu, podających ciągle na nowo słowa Hitlera, że „zwycięstwo nie ulega wątpliwości”, odrzucał natomiast lakoniczne raporty wojskowe, nie pozostawiające wątpliwości o nieuchronnej klęsce.

Kiedy Heinrici wszedł wreszcie do bunkra Hitlera, w korytarzu panował taki tłok, że z trudem tylko mógł się poruszać. Po pedantycznej rewizji osobistej wpuszczono go do

sali odpraw. Wkrótce po tym wszedł Hitler. Jego szurgotliwy krok słyszano już w korytarzu. Führer zajął miejsce przy stole z mapami i nałożył zielone okulary. Na jego przeźrażliwie bezkrwistą twarz padł zielonkawy odbłask, podkreślający jeszcze dobitniej jej trupią bladłość...

Generałoberst Heinrici zakończył raport słowami, wyrażającymi powątpiewanie w możliwość utrzymania frontu nad Odrą. W ciszy, która nastąpiła, słychać było chróbot drążący dłoń Hitlera po mapie.

— Słyszę tylko cyfry — rzekł cichym, starym szeptem. Nagle podniósł głos i dodał:

— Nie słyszę natomiast nic o wewnętrznej spójności oddziałów. A przecież wszystko zależy od wykrze-

KIEDY NIEMCY DOGORYWAŁY

FRAGMENTY SŁYNEJ KSIĄŻKI (VI)

sania fanatycznej wiary! Nasz ruch dowiodł — tu głos jego przeszedł w krzyk, — że wiara jest tym czynnikiem, który góry rusza z posad. Wszystko zależy obecnie już tylko od tego, kto silniej wierzy, kto w tej walce przetrzyma o kilka minut dłużej!

Widocznie jednak opętany przywódca narodu niemieckiego przestał już sam wierzyć w głoszone przez siebie hasła, skoro wydał rozkaz *V e r b r a n n t e E r d e* („Spalona ziemia”), w którym nakazał bezwzględne zniszczenie wszystkich urządzeń koniecznych do życia. Gdzie tylko zachodziła możliwość wkroczenia nieprzyjaciela należało demoloować mosty, urządzenia komunikacyjne, łączność, koleje, wodociągi, elektrownie, gazownie... Niechaj zginie cały naród, skoro zginąć musi partia i jej Führer. Tak się jednak stało, że w partii znalazł się jeden człowiek — Albert Speer, minister uzbrojenia, — który odważył się przeciwstawić wydanemu rozkazowi i w tajemnicy przed Hitlerem objeżdżał dowódców, prosząc o zaniechanie wykonania powyższego rozkazu. Aczkolwiek nie udało mu się to w pełni, to jednak potrafił przynajmniej w części zapobiec tragicznemu skutkowi, jakie w związku z tym mogły spaść na złąkowaną ludność.

Dzień 15 kwietnia 1945 roku był dniem niezwykłego napięcia. Generał Busse meldował, że na całym froncie rozpętały się walki, pozwalające wnioskować o nowej wielkiej ofensywie sowieckiej. Jednocześnie oficerowie ze sztabu Bussego donosili, że wieczorem dnia 12 IV przebywał u nich Goebbels. Przypominał, że Opatrzność sowiecie wynagrodziła nieugiętą wytrwałość Fryderyka Wielkiego, znajdującego się na pozór w położeniu bez wyjścia, każąc umierać jego przeciwnicze — cesarzowej rosyjskiej Elżbiecie. Wtedy jeden z oficerów odważył się postawić pytanie, która to cesarzowa będzie musiała umrzeć obecnie.

Kiedy Goebbels powrócił z nad Odry do Berlina, doniesiono mu o śmierci Roosevelta. Położył się natychmiast ze sztabem generała Busse i przeżył tym cudownym zrządzeniem losu zakomunikował, że „cesarzowa właśnie zmarła”.

Od tej chwili zaczęły mnożyć się niezwykle porożki. I chociaż nigdzie nie można było znaleźć konkret-

nego ich potwierdzenia, to jednak powszechnie miano, że śmierć Roosevelta wywołała zmianę stanowiska aliantów wobec Hitlera i Niemiec. Wtedy właśnie minister Speer rozpoczął swe objazdy i od tego momentu zaczęto niemal jawnie mówić w Berlinie o konieczności zawarcia pokoju z Zachodem przy jednoczesnym przetrzebieniu wszystkich sił przeciw Wschodowi.

W nacechowanych beznadziejnością i znamienych hardym uporem Hitlera tajnych naradach, ten pozorny tytan widział w swych ostatnich przeblaskach jasności umysłu, że uratować może go tylko odrębny pokój z jedną z dwu grup wrogich mu mocarstw i zawarcie przymierza z tą grupą przeciwko drugiej. W swej szaleńczej pysze nie chciał jednak sam o to się ubiegać, lecz wycedził, by proszono go o to. Był zdecydowany czekać aż rozpadnie się koalicja Wschodu z Zachodem i dopiero wtedy przyłączyć się tam, gdzie mu to będzie odpowiadać, lecz nie jako człowiek zwyciężony i upokorzony, lecz jako ten, który potrafił utrzymać się przy słuszności swych tez. Stanowczo jednak wzdragał się przeciw podjęciu jakiegokolwiek inicjatywy ze swej strony. Nie chciał ani upaść, ani podporządkować się. Uczepiwszy się kurczowo możliwości zerwania przymierza Wschodu z Zachodem, chciał tego doczekać walcząc.

Według opowiadań Speera, w początkach kwietnia Hitler dowiedział się o wysiłkach niemieckich czynników w północnej Italii, mających na celu nawiązanie tajnych rokowań pokojowych z mocarstwami zachodnimi oraz kapitulację. Wezwał wówczas do siebie do Berlina SS-Obergruppenführera Wolffa, któremu oświadczył:

— Zaprzestanie obrony nie jest obecnie wskazane. Na Wschodzie możemy stawiać Rosjanom opór jeszcze dwa miesiące. W tym czasie musi dojść do rozłamu pomiędzy Rosją a Anglosasami. Zawrę wtedy przymierze przeciwko wszystkim pozostałym przeciwnikom z tym, kto zwróci się do mnie pierwszy.

Od tej chwili wszyscy śledzili najmniejsze oznaki tego domniemanego rozłamu jeszcze bardziej gorączkowo, z jeszcze mniejszym niż dotychczas poczuciem rzeczywistości. Takim faktom jak rewolta komunistycznych marynarzy greckiej floty w Aleksandrii, lub też ostentacyjnie bezczynne przyglądanie się oddziałów angielskich wycofywaniu się niemieckiej armii z wysp na Morzu Egejskim i z Grecji, przypisywano olbrzymie znaczenie. Tak samo z pierwszej mowy następcy Roosevelta — prezydenta Trumana, a mianowicie z wypowiedzianego tam zdania, że Truman doprowadzi wojnę w Europie do szybkiego końca — wyciągano wnioski o postępującym rozłamu między Wschodem a Zachodem.

Goebbels, Naumann i inni przeciścili się wzajemnie w rozwijaniu najprzeróżniejszych tez. Goebbels np. przychylił się z dnia na dzień bardziej do tezy, że przeznaczenie nieuchronnie rozstrzygnie na korzyść Hitlera — nawet gdyby to rozstrzygnięcie miało zapaść w ostatniej minucie — i przekazywał tę tezę z właściwym mu kunsztem argumentacji Hitlerowi.

Nie było jednak żadnych usiłowań w kierunku zawarcia odrębnego pokoju.

Tymczasem jeszcze przed braskiem dnia 16 kwietnia rozpoczęło się nad Odrą artyleryjskie przygotowanie do wielkiej ofensywy sowieckiej. (Ciąg dalszy nastąpi)

PRZEZ SIEDEMIENI MÓRZ I RZEK

Rzucano się na wodę kawałek pnia drzewnego, dosiadało się go okrakiem. Gruba gałąź służyła jako wiosło. Tak jeździli na kajaku nasi przodkowie sprzed czterech milionów lat. Potem przyszła koles na pirog (nazwa pochodzi z języka karaibskiego). Był to kawał pnia wycięty prymitywnymi narzędziami. Łodzi tego typu używają po dziś dzień ludy polinezyjskie. U Indian kajak wygląda inaczej. Jest to leciutka łódź z kory brzoźowej. A Eskimosi? Na dalekiej północy drzew nie ma. Zbudowali więc kajaki: fiszbinowy szkielet obciągnięty skórą reniferów. Od Eskimosów nauczył się tej sztuki słynny badacz polarny — Nansen — i wprowadził ten typ łódki do Europy. W tym momencie kajak stracił swój charakter użytkowy. Rozpoczął karierę sportową. I turystyczną.

REKORDY I TRAGEDIE

W latach międzywojennych kajakarstwo rozwija się wspaniale. Padają rekordy za rekordami nie tylko na torach regatowych. Kajakowcy poczynała rywalizować z dużymi jednostkami pływającymi: pokonują olbrzymie przestrzenie wodne. Oto w latach dwudziestych Niemiec Romer postanawia przepłynąć

na kajaku Atlantyk. Startuje z wysp Kanaryjskich. Łąduje w Saint Thomas. Stąd bierze kurs na północ. Pragnie dotrzeć do Nowego Jorku. Nie dotarł nigdy. Zginął. Próbowano kilkakrotnie po nim powtórzyć jego wycieczkę — wszystkie kończyły się katastrofami. W latach trzydziestych, kiedy zbudowano nowy

typ kajaka — składak — ruszyły nowe wyprawy. W różnych kierunkach. Niemcy i Francuzi chcieli sforsować Amazonkę, — zginęli. Za to powodzeniem skończyło się przepłynięcie Nilu i Mississipi. Oczywiście wśród ryzykantów kajakowców nie brakło i Polaków. Polacy płyną Dunajem i Dniestrem do Morza



Czarnego. Polacy przepływają Morze Czarne. Polacy forsują Bałtyk i łądzą w Szwecji. Nasi kajakarze w tych latach znaleźli się w czołówce światowej.

Ostatnim wielkim, powojennym już wyczynem kajakarskim była podróż Niemca Lindemana, który wyruszył z Hamburga dotarł do wysp Kanaryjskich. Następnie Atlantykiem dopłynął do Saint Thomas. Dokonał tego w roku 1956.

POLACY WYRUSZAJĄ PO REKORD ŚWIATA

Wczesną wiosną przyszłego roku trzech krakowskich kajakowców, Aleksander Rybik, Witold Roth i Adam Kielar, oraz przedstawiciel „Gazety Krakowskiej” Ryszard Dzieciokiewicz wyruszą na olbrzymią wyprawę z Polski do Indii, Erytryi, która będzie prowadzić przez dzielnice górskie, rzeki nizinne, jeziora, morza, porohy i oceany, liczy ponad 10.000 km, długości. Zaczyna się w zapadłej Jablonce pod Babłą Górą a jej cel: — Bombaj!

Będzie wiodła przez śladem rzek i siedmiu mórz. Czekają Polaków duże przeszkody i trudności. Bystre prądy Czarnej Orawki i Orawy, fale Morza Czarnego, mórz Marmara, Egejskiego i Śródziemnego. Nieprzystępne brzozi Małej Azji i straszne porohy Eufratu. Gorące wiatry pustyńne zatoki Perskiej,

aligatory... Indusu, rekiny Morza Arabskiego i Oceanu Indyjskiego.

Przygotowania do wyprawy są w pełnym toku. Różne instytucje i organizacje pospieszają z bezinteresowną pomocą. Polskie Linie Oceaniczne dostarczyły kompletu dokładnych map morskich, Dowództwo Wojsk Lotniczych dostarczyło specjalnych awaryjnych racji żywnościowych, busoli lotniczych i pasów ratunkowych. Centralny Zarząd Przemysłu Sprzętu Sportowego ofiarował namioty, ciepłe tropikalne, śpiwory, sprzęt kuchenne-biwakowy. CRZZ, GKKF, Komitet Turystyki i redakcja „Gazety Krakowskiej” obiecały dotacje pieniężne.

Stocznia Jachtowa w Krakowie i Zakłady Sprzętu Przemysłowego w Niewiadłowie wykonają specjalne składaki z ozdobieniem. Protektorat nad wyprawą objął i sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR, Lucjan Motyka i przewodniczący GKKF Rzeczek. Znana artystka P. Nina Andrycz-Cyrankiewiczowa zgodziła się zostać „matką chrzestną” łodzi, na których popłynie wyprawa.

Do momentu startu — zaledwie trzy miesiące. I znowu, po wieloletniej przerwie, wyruszą w świat polscy kajakowcy na polskich sprzęcie. Znowu będą powiewać na szerokich wodach polskie banderki. Stanie się to w 30 rocznicę kajakarstwa polskiego.

WSPÓŁCZESNE MALARSTWO

(WYSTAWA W PALACU SZTUKI)

Na wystawie współczesnego malarstwa belgijskiego w Pałacu Sztuki pokazano prace 16 artystów, reprezentujących głównie trzy kierunki: surrealizm, post-ekspresjonizm i abstrakcjonizm. Dzięki doborowi prac w ogromnej większości pochodzących z ostatnich czterech lat, wystawa pozwala zorientować się w tendencjach dzisiejszej sztuki belgijskiej i zaznajomić się z jej aktualnym stanem.

Pierwsze wrażenie, jakie narzuca się po obejrzeniu wystawionych obrazów, sprzeczne jest w zasadzie do stwierdzenia, że przy niewątpliwie wysokim i wyrównanym poziomie poszczególnych prac, całość ekspozycji cechuje pewien akademicyzm i brak wyraźnej rysującej się awangardowości.

Wydaje się, że z jednej strony przyczyna tego leży w kontynuowaniu przez niektórych malarzy raz obranej metody w sposób mało twórczy lub w hołdownianiu jednej tradycji, jak to ma miejsce u przedstawicieli surrealizmu i post-ekspresjonizmu, z drugiej zaś strony w stosunkowo późnym, a może nawet późnym podjęciu prób w kierunku czysto abstrakcjonizmu.

Trudno dzisiaj zaliczać do awangardy Paul Delvaux i René Magritte'a, którzy już w okresie przedwojennym należeli do czołowych przedstawicieli surrealizmu w skali światowej i niewątpliwie w tym czasie ich wkład w osiągnięcia malarstwa surrealistycznego był bardzo istotny i decydujący. Obecnie jednak surrealizm w tej postaci jaką reprezentuje twórczość obu tych artystów stał się kierunkiem akademickim. Zarówno „Szkielety” Delvaux z 1944 r., jak i pokazane na wystawie powojenne obrazy Magritte'a nie wnoszą niczego nowego do dotychczasowych osiągnięć surrealizmu. Bezpośrednie nawiązanie w 1955 r. do malarstwa metafizycznego Chirica, jak to ma miejsce w obrazie Magritte'a „Lampa Aladyna” świadczy o pewnym skostnieniu.

To samo można powiedzieć o post-ekspresjonistach — Slabbinoku i Godderisie, których twórczość w zasadzie nie wykracza poza zdobyte tego gatunku sztuki z okresu dwudziestolecia. Bardziej

już oryginalny jest Octave Landuyt łączący ekspresjonizm o silnych akcentach społecznych z nastrojowością naturalistycznej odmiany surrealizmu.

Do przeszłości także należy awangardowa faza czystego abstrakcjonizmu. Druga niejako wtórna jego faza rozwija się z początkiem lat pięćdziesiątych i w tym też okresie zaczynają uprawiać sztukę bezprzedmiotową prawie wszyscy pokazani na wystawie abstrakcjoniści belgijscy.

Czysty abstrakcjonizm reprezentuje przede wszystkim Gaston Bertrand kontynuujący, w sposób zresztą bardzo osobisty, ściśle geometryczne malarstwo w typie mondrianowskiego neoplastycyzmu, oraz Antoine Marstboom pasjonujący się zagadnieniami ruchu i rytmu. Do tej grupy w zasadzie należy także Marc Mendelson, chociaż w jego geometryzujących kompozycjach jest coś z klimatów obrazów Miro, a więc wyjście już poza oschłą kalkulację malarstkich form na rzecz operowania pewnym tak charakterystycznym dla hiszpańskiego artysty metafizycznym, magicznym nastrojem, dodatkowo jeszcze zasugerowanym przez odpowiednio dobrane tytuły („Wtajemniczenie w podróz”, „Zwrotnik Koziorożca”, „Przeżycie”).

Stosunkowo najbardziej żywotnym wydaje się malarstwo określane przez krytykę mianem ekstrakcjonizmu, polegające na tym, że płótna pozornie abstrakcyjne nie zataczają całkowicie cech figuratywności, zachowują związek z rzeczywistością poprzez aluzje przedmiotowe. Czasami są one bardzo odległe i ledwo uchwytnie jak to ma miejsce w nieco dekoracyjnych kompozycjach Jean Milo i w pełnych świeżości, liryzmu i subtelnego wycucia koloru obrazach Anne Bonnet („Wędrowki wiosenne”, „Ogród na Kandii”). Najwyraźniej aluzje przedmiotowe widoczne są u Antoine Mortiera łączącego elementy ekspresjonizmu ze zdobyczami abstrakcjonizmu, a zwłaszcza w obrazach Jana Burssensa sugerujących

wśród taszyzujących arabesków zarysy ludzkich postaci („Postać”, „Człowiek”).

To ciążenie ku przedmiotowości daje się zresztą zauważyć nawet u artystów uprawiających malarstwo czysto abstrakcyjne, jak o tym świadczą tytuły niektórych obrazów, dopuszczające skojarzenia przedmiotowe „Stalki na Skaldzie”, „Marstboom czy „Forum Trajana” Bertranda.

Z drugiej strony do pogranicza abstrakcji zbliża się twórczość kubizującego Zephu Busine'a oraz w pewnej mierze także Roger Dudanta, operującego dyskretnymi ale dostatecznie czytelnymi aluzjami.

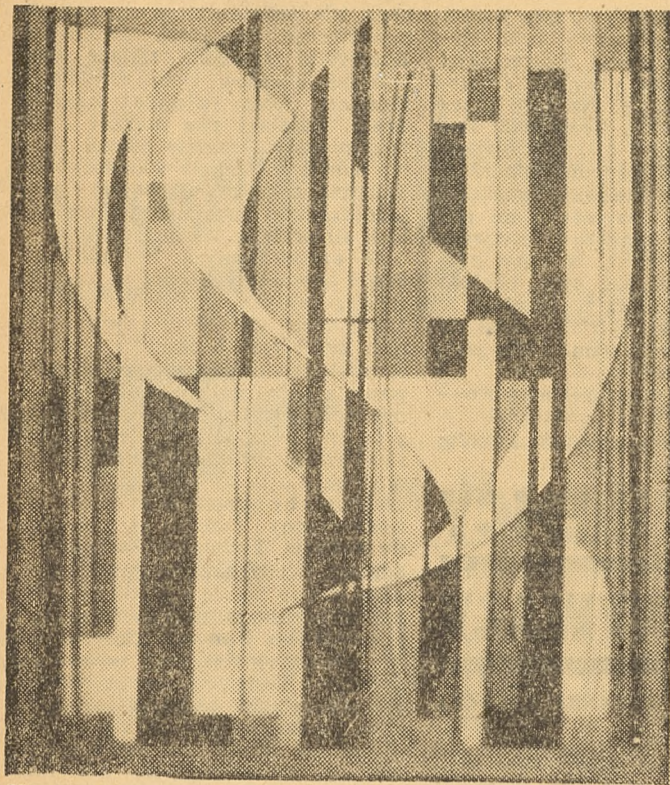
Bardziej przedstawieniową sztukę reprezentuje malarstwo Pol Mara. W jego pełnych poetyckiego nastroju gwaszach, bardzo wyrafinowanych w kolorze i subtelnym w rysunku, odywają się jakby dalekie echa magicznej sztuki Paul Klee-go.

W pełni figuratywną sztukę obok wspomnianych już na początku surrealistów i postekspresjonistów reprezentuje Gustave Camus. Operuje on oszczędną gamą kolorystyczną o przewadze tonacji brązowych i szarych oraz stylizowaną, bardzo gra-

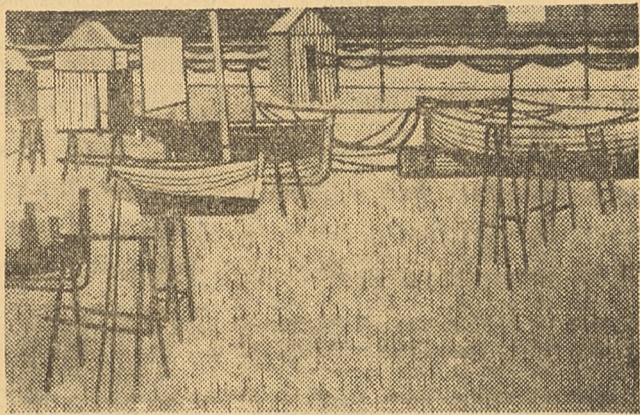
BELGIJSKIE

ficznie pojętą, miejscami zbyt mechaniczną kreską, nie wolną od secesyjnej metody jak np. w „Martwej naturze z czosnkiem”.

Dokonywane pokrótce przegląd twórczości poszczególnych artystów belgijskich przy pewnych zastrzeżeniach co do ich awangardowości, kaže jednak stwierdzić w ostatecznym podsumowaniu bardzo widoczne i bardzo rzetelne wartości warsztatowe. Na wystawie nie oglądamy ani jednego obrazu, który by nie ukazał opanowanego rzemiosła malarstkiego. Można powiedzieć za J. van Lerberghe, autorem wstępu do katalogu, że istnieje jedna wspólna cecha łącząca wszystkich artystów biorących udział w wystawie — „poszukiwanie pięknej, bogatej i przyjemnej dla zmysłów materii malarstkiej”.



MARS - BONN



GUSTAVE CAMUS

FOT. KNAUS

CYBERNETYKA

DZIWNNA NAZWA — DZIWNNA NAUKA

MASZYNY RACHUJA: 1 + 1 = 10!

„Przecież tak nie można!” protestuje mały Jasio, który już czyta gazety, poza tym studiuje na drugim roku szkoły powszechnej. „Jeden a jeden jest dwa!” i idzie na skargę do taty, który jest głównym księgowym w MHD. Wyższa instancja radzi czytać dalej. Być może, że nauka i technika już stoją tak wysoko, że jeden a jeden to dzie sięć. W wieku energii atomowej i rakiety wszystko jest możliwe.

Tymczasem tak, jak dzisiejsze „mózgi elektroniczne”, już przeszło trzysta lat temu, bo w roku 1654 rachował wspomniany poprzednio matematyk Pascal. Żeby zrozumieć jego pomysł, musimy naprzód pomówić o tzw. „pozycyjnym układzie liczbowym”.

Do zapisywania liczb służy nam 10 znaków pojedynczych, czyli cyfr arabskich. Znaki te są każdemu dobrze znane: 0, 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10. Gdy mamy do czynienia z liczbą większą niż 9, np. gdy chcemy napisać, ile palców ma normalny człowiek u obu rąk, musimy skombinować ze sobą dwa znaki cyfrowe. Piszemy: 10 a mówimy: dziesięć. Dziesięć osób, posiadających dwadzieścia rąk, będzie mieć palców 100 (sto). W pierwszym przypadku, czyli w liczbie 10, jedynka oznacza „jedną setkę”. Czyli w zależności od miejsca, gdzie dana cyfra jest umieszczona, jej wartość jest 10, 100, 1000... itd. razy większa, niż gdy ta sama cyfra stoi na miejscu (pozycji) pierwszym od prawej.

Tęgo rodzaju „pozycyjny” układ pozwala nam napisać dowolnie wielką liczbę przy użyciu tylko dziesięciu znaków. Ponieważ w zależności od pozycji — dana cyfra jest 10, 100 itd. razy większa, niż w pozycji pierwszej, przeto taki układ nazywamy „dziesiątkowym”, jako że 100, 1000 itd. są potęgami liczby 10 (bo 100 = 10², 1000 = 10³, itd.).

Liczba 10 została przez kogoś tam w zamierzonych czasach przyjęta za podstawę układu, ponieważ człowiek był przyzwyczajony liczyć „na palcach”, zanim zrobił sobie liczydło.

Gdybyśmy przypadkiem mieli po sześć palców u rąk, to z pewnością podstawą układu byłaby liczba 12. Wówczas mielibyśmy znaków cyfrowych (pojedynczych) dwanaście, np.

0 1 2 3 4 5 6 7 8 9 A B

(gdzie litery A i B zastępują brakujące cyfry 10 i 11). Naturalnie w dwunastkowym układzie pozycyjnym

po cyfrze B następowałaby już dwucyfrowa liczba „10”, którą czytamy „tuzin”. Liczba „10” w tym układzie rozumiałaby się jako „jeden tuzin, zero jednostek” czyli „nasze” dwanaście. Liczba „100” byłaby wtedy tym, co dziś jest jeszcze w handlu guzikami nazywa się „dużym tuzinem” czyli tuzin razy tuzin czyli naszą liczbą 144. Liczbę „100” taki tuzinkowy matematyk rozumiałby tak: 1 wielki tuzin plus zero tuzinów plus zero jednostek czyli razem nasze 144.

Pascal pierwszy wykazał, że podstawą układu pozycyjnego może być także po prostu „dwa”. Wówczas będziemy mieć do czynienia tylko z dwiema cyframi: 0, 1. Naturalny ciąg liczb przedstawił się wówczas w porównaniu z naszym układem następująco:

Układ dziesiętny: 1 2 3 4 5 6 7 8
Układ dwójkowy 1 10 11 100 101 110 111 1000.

Liczby układu dwójkowego są zbudowane z samych zer i jedynek. Liczba „dwa” czyli podstawa układu dwójkowego musi oczywiście mieć postać „10”, co „dwójkwiec” będzie rozumiał tak: „Jedna dwójka, zero jedynek”, czyli razem nasze 2. Jak więc widzimy, w układzie dwójkowym 1+1=10, bo znak „10” oznacza tutaj dwójkę.

oczywiście dla przyzwyczajonego rachować w układzie dziesiętnym układ dwójkowy, wymagający wielocyfrowych zapisów składających się z jedynek i zer — wydaje się dziwaczny, trudny i niecelowy. Np. nasz bieżący rok 1957 przedstawia się w zapisie dwójkowym liczbą jedenastocyfrową, a mianowicie 11110100101. Kto ma cierpliwość, może przeliczyć:

1024 + 512 + 256 + 128 + 0 + 32 + 0 + 0 + 4 + 0 + 1 = 1957.

Otóż operacji cyfrowych w maszynach elektronicznych dokonuje się w układzie dwójkowym. Dlaczego? Maszyna elektroniczna pracuje „impulsami” elektrycznymi względnie brakami impulsów. Impuls — przedstawia jedynekę, brak impulsu — zero. A że owe impulsy następują niesłychanie szybko, więc mógz elektroniczny nie martwi się tym, że rok 1957 zamiast czterema trzeba przedstawić jedenastu cyframi.

Mamy tu do czynienia, jakby z kluczem telegraficznym Morsego, składającym się z kropek i kresek. „Klucz” elektroniczny do liczb jest jeszcze prostszy, bo są tylko kropki, jako jedynek i przerwy w prądzie,

czyli zera. A z takich jedynek i zer można zbudować każdą dowolnie wielką liczbę. Maszyna elektroniczna ma czas, bo pracuje z niesłychaną prędkością.

JAK PRACUJE MÓZG ELEKTRONOWY?

Na naszej ilustracji widzicie jedną z maszyn elektronicznych służących do rachowania, są to maszyny matematyczne. Są różnej wielkości i służą do różnych celów. Niesposób ich tu ani dokładniej opisać ani też omówić ich działanie, są to bowiem rzeczy, wymagające tomów a nie kilku lamów czasopisma.

W każdym razie każda taka maszyna posiada kilka podstawowych działów, do których należą: wejście, pamięć, arytmometr, sterowanie i wyjście.

Do wejścia podaje się instrukcję z zadaniem, jakie maszyna ma wykonać. Ta instrukcja i liczby zadania są zwykle zapisane na taśmie specjalnym kodem w postaci dziurek.

Wyjściem wychodzi gotowe rozwiązanie, np. w postaci liczb odfo-

tografowanych na taśmie filmowej. Pokazujemy na rysunkach dziurkowaną kartę wejściową oraz wyjściowy film.

Arytmometrem nazywa się ten dział maszyny, gdzie są dokonywane rachunki. Ponieważ przy skomplikowanych obliczeniach w toku rachunków powstają pewne liczby pośrednie, które są potrzebne później do dalszych obliczeń, przeto dział zwany „pamięcią” rejestruje te przejściowe wielkości. Np. trzeba dwie pary liczb pomnożyć, a potem iloczyn dodać. „Pamięć” rejestruje owe iloczyny, uzyskane najpierw, a potem arytmometr je dodaje.

Jedną z wielu form działu „pamięci” jest znana taśma magnetofonowa, która po nagraniu mowy lub muzyki „pamięta” treść nagrania i reprodukuje ją w odpowiednim urządzeniu za pomocą głośnika. Podobnie można, na takiej samej taśmie w maszynie elektronicznej przejściowo notować pośrednie rezultaty, potrzebne do końcowych obliczeń.

Dział sterowania wykonuje oczywiście też za pomocą stosownych impulsów elektrycznych instrukcje, jakie człowiek podaje w postaci np. dziurek na karcie wejściowej. Karta np. zawiera dwie liczby. Wprowadzenie tych liczb do maszyny nie dałoby żadnego wyniku. Karta musi zawierać rozkaz „pomnożyć”. Wtedy

maszyna owe liczby pomnoży i na wyjściu otrzymamy iloczyn.

Spróbujmy w najprostszym sposobie opisać jakieś elementarne działanie maszyny rachunkowej, żeby zrozumieć choć w zasadzie, co się tam w niej dzieje podczas elektrycznego rachowania. W przykładzie tym omawiamy działanie maszyny „przekaznikowej” czyli pracującej za pomocą elektromagnetycznych przekazników, gdyż jest to sprawa łatwiejsza do opisania, zwłaszcza bez skomplikowanego schematu rysunkowego.

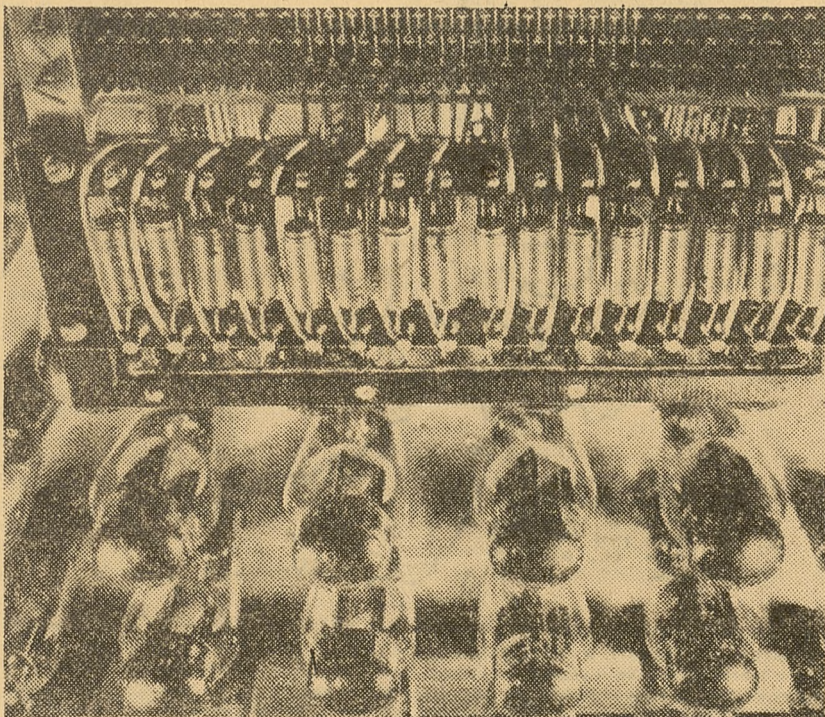
A więc — baczność! Zaczynamy elektrycznie rachować. Naprzód na kartonie taśmy dziurkujemy w odpowiednich miejscach za pomocą przewidzianej na ten cel maszyny do pisania — dwie liczby dwucyfrowe, które chcemy dodać, np. „10” i „11”. Ujmujemy je w cudzysłowy dla zaznaczenia, że są to liczby układu dwójkowego, które w naszym układzie (t. j. dziesiętnym) oznaczają 2 i 3. Ponadto na karcie wyjściowej zaznaczymy (też za pomocą paru dziurek) rozkaz „dodawać”.

Kartę wprowadza się do maszyny, która wciąga ją do wnętrza i przesuwa wobec stosownego układu fotokomórek. Cztery odpowiednie przewody otrzymają impulsy stosowne do cyfr liczb 10 i 11, czyli impulsy: prad, nic — prad, prad. W ten sposób liczby 10 i 11 zamieniają się na cztery impulsy na 4 przewodach, prowadzących prąd do czterech elektromagnesów przekaznikowych, odpowiednio ze sobą połączonych siecią przewodów.

Pierwszy, trzeci i czwarty przekaznik przyciągną swoje kotwiczki (drugi — nie, bo nie dostał prądu), kierując prąd w stronę trzech przewodów wyjściowych, na których ukaże się rezultat: prad, nic, prad, czyli liczba „101” jako suma „10” i „11” (przypominamy, że rachujemy w układzie dwójkowym).

Gdyby na karcie wejściowej były liczby „11” i „11”, to wszystkie cztery przewody otrzymałyby via fotokomórki prąd. Wszystkie cztery przekazniki zamknęłyby się, a na przewodach wyjścia pokazałyby się: „prąd, prad, nic” czyli liczba „110”, której w układzie dziesiętnym odpowiada 6 jako suma 3 plus 3.

Należy podkreślić, że wejściowa maszyna piszaca czyli dziurkująca kartę, pracuje w układzie dziesiętnym. „Przetłumaczenie” liczb dziesiętnych na dwójkowe odbywa się już w samej maszynie. Tak samo u wyjścia jest maszyna, która przetłumacza wyniki dwójkowe na liczby układu dziesiętnego, co jest oczywiście ogromnym uproszczeniem dla korzystającego z maszyny, tak przy „zadawaniu” roboty, jak i przy odbieraniu wyników.

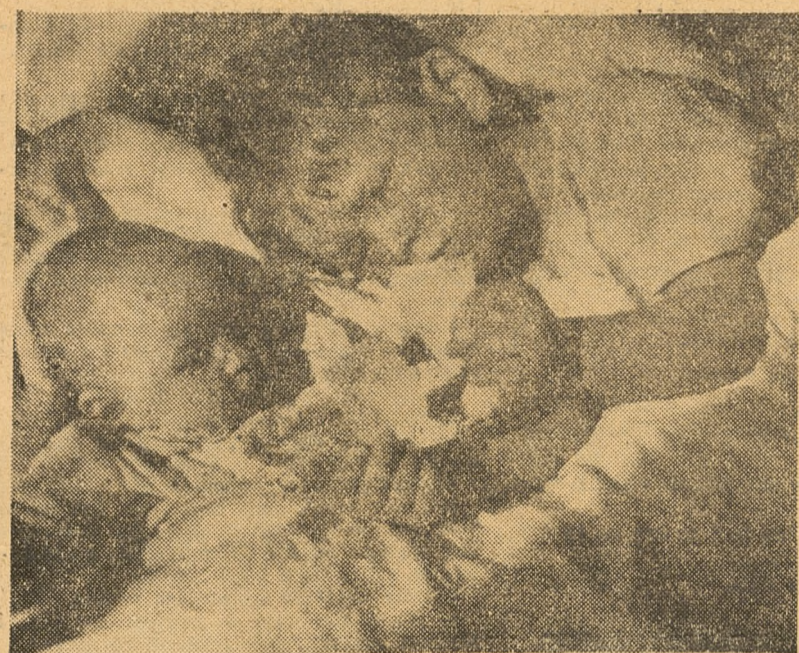


SZCZEGÓŁY WEWNĘTRZNEJ BUDOWY AMERYKAŃSKIEJ MASZYNY RACHUNKOWEJ JBM-705

NASZ KONKURS „ZABAWY DZIECI“

A PROPOS ZABAWY DZIECI

POCZTA „ZDARZEŃ“



Zdjęcie nagrodzone w naszym konkursie zostało nadesłane przez artystę fotografikę mgr Romana Wesołowskiego



Zdjęcie wyróżnione, nadesłane przez Jerzego Wieczorka z Nowej Huty



CZY TWOJE DZIECI MAJĄ ODPOWIEDNIE ZABAWKI?

Powodzenie naszego konkursu fotograficznego pt. „Zabawy dzieci“ skłania nas, zwłaszcza w związku ze zbliżającym się okresem zakupów podarków świątecznych, do... naukowego naświetlenia problemu właściwej zabawki. Poniższe uwagi dr F. Stelina, znanego niemieckiego psychologa niewątpliwie zainteresują mamy, babcie, ciocie i wujków.

Wydaje mi się, że niekiedy dzieci są zasypywane zbyt dużą ilością nieodpowiednich zabawek. Konsekwencją tego jest, że maluchy zajmują się swymi zabawkami zbyt krótko i powierzchownie: dzieci wydobyczą z zabawek to, co im się wchodzi w oko, by za chwilę sięgnąć po drugą i trzecią, przy czym wykorzystanie zabawki jest minimalne. Spostrzegawczość dziecka, która z natury rzeczy jest słaba i łatwo odwracalna przy tego rodzaju zabawie nie tylko się nie wzmacnia, lecz przeciwnie osłabia. Nie ma tu oczywiście mowy o jakimś kształceniu koncentracji, czy wytrwałości. Przeciwnie dzieci stają się powierzchowne i nerwowe.

Śmiem nawet twierdzić, że mieliśmyby znacznie mniej problemów wychowawczych, gdyby dzieci w właściwym czasie miały odpowiednie zabawki. Mamy zupełny spokój z Jankiem i Basią. Jedno i drugie całymi godzinami bawi się bądź klockami lub pluszowymi zwierzętami. To pasuje do ich wieku. Tylko od czasu do czasu kupujemy im jakąś nową zabawkę.

Wśród niewielu zabawek, jakie po-

siadają nasze dzieci, można wyróżnić oczywiście dwie lub trzy specjalnie ulubione. Basia kocha swego zajęczka, którego przezwiała „Szarusiem“ i pielęgnuje go jak własne dziecko. „Szarus“ musi spać, jeść, musi siedzieć na toczniczku, a ponadto bywa kąpany, przebierany i oczywiście korzysta ze spacerów i to pod kołderką we wózek. Gdy Basia rozbije sobie głowę lub pokaleczy nogę to „Szarus“ jest pierwszym, który służy jej zwierzeń i niesie pociechę. Ulubioną zabawką Janka jest natomiast skrzynka z klockami budowlanymi. Klockami tymi wyczarowuje się własny świat pełen fantazji. Nowa budowa i krań z najbliższego sąsiedztwa, kolej, lokomotywa, dworzec, a także widziany na ostatniej wycieczce zamek oraz stacja radiowa — wszystko to powstaje tu pod rękami „inżyniera“ i doznaje niezliczonych przeróbek.

Poza „Szarusiem“ i klockami bawią się nasze dzieci jeszcze chętnie piłką, lalką, przyborami do zabaw w piasku, ciężarowym drewnianym autem, pudełkiem z farbami, hulajnogą. Specjalny charakter zabawki decyduje o tym jak długo bawi się nią dziecko.

Dzieci potrzebują w każdym stadium rozwojowym odpowiedniej zabawki. Tą bawią się najdłużej i najczęściej. Innymi w ich wieku mniej ważnymi — krócej i dorywczo. Pedagodzy i psychologowie dzielą zabawki na trwałe i okolicznościowe, na obojętne, ważne i niezbędne. Zestawili oni też tabele ilustrujące

przydatność zabawek w zależności od wieku dziecka. Można wyodrębnić trzy grupy zabawek. Pierwsza to zabawki do pieszczoł (misie, zajęczki, lalki) druga to zabawki — tworzywa (plastelina, farby, skrzynki z klockami) i wreszcie trzecia to zabawki ruchome (zwierzęta do ciągnięcia na sznurku, piłki, wózki, hulajnogę itd.). Dobra zabawka powinna odpowiadać następującym wymaganiom: przynosić możliwość różnorodnego użycia, nie ograniczać fantazji dziecka zbyt wyraźnymi formami, lecz przeciwnie pozostawiać jej jak najszersze pole do kombinacji. Sposób użycia zabawki nie może budzić w dziecku wątpliwości — przeciwnie powinien być jasny i sam przez się zrozumiały. Wielkość zabawki musi odpowiadać możliwościom dziecka i być stosowna do wieku. Dzieci do lat pięciu najchętniej bawią się zabawkami o dużych, prostych kształtach, dopiero po wyjściu do szkoły potrafią one z powodzeniem korzystać z mniejszych form.

Nie obojętny jest także — zwłaszcza dla małych dzieci, — materiał z jakiego zrobiona jest zabawka. Powinien on być „ciepły“ i „łatwo uchwytny“ — cechy te posiada drzewo i plusz. Należy też zwrócić uwagę na proste, jasne formy oraz czyste i soczyste kolory. Dobra zabawka winna być ponadto prosta w użyciu a jej konstrukcja zrozumiała i widoczna. No i w końcu słysząc cenę, osądzmy ją według trwałości i znaczenia zabawki dla dziecka.

KOMU WIERZYĆ?

Od pewnego czasu w „Zdarzeniach“ czytam, że pismo to można zamawiać u listonosza, ale komu tu wierzyć? Wysoce sobie cenię i szanuję Redakcję i wierzę Jej więcej aniżeli Poczcie ale u licha jak zmusić listonosza, aby zechciał przyjąć prenumeratę na „Zdarzenia“, bo tu zawodzi nawet znajomość z pocztą. Listonosz twierdzi, że nie ma podstawy do przyjęcia prenumeraty. Mało tego, poprzyjmowano np. prenumeratę na „Panoramę“ na 4 kwartał a po doręczeniu 2 numerów zwrócono prenumeratom wpłatę, bo na pocztę nie nadsyłają, tego tygodnika. Więc kto ma rację?

M. GRZELAK, Prabuty

W innych miejscowościach poczta przyjmuje prenumeratę „Zdarzeń“ winna więc ją przyjmować i w Prabutach. W sprawie tej interweniuje.

DRAŻLIWY PROBLEM

Przeglądając w listopadowe popołudnie wszystkie numery „Zdarzeń“, natrafiłem w 22 numerze na ankietę dotyczącą propagowania zagadnień świadomego macierzyństwa. Jak to sugerowała ankieta, sprawę tę winno powierzyć się nauczycielom, lekarzom, działaczom społecznym. Czy „Zdarzenia“ nie powinny propagować tych spraw, co przyniosłoby im chlubę? Dalszym tematem ankiety wspomnianej była dyskusja nad sposobami uświadamiania młodzieży na tematy życia seksualnego, świadomego macierzyństwa itp. Pismo Ważne trafia często w ręce młodzieży i właśnie zamieszczanie w nim podobnych rozważań przyczyniłoby się niewątpliwie do częściowego rozwiązania tego drażliwego problemu.

Życzę Redakcji sukcesów w trudnej pracy spełniania życzeń czytelników.

MIECZYSLAW W. z Tarnowa

CZY NOWA HUTA JEST DZIELNICĄ?

Przeczytałem Waszą ankietę „Co zrobiłbym, gdybym został przewodniczącym MRN w Krakowie“. Pragmatybilnym dorzucić swoje uwagi do tej interesującej sprawy.

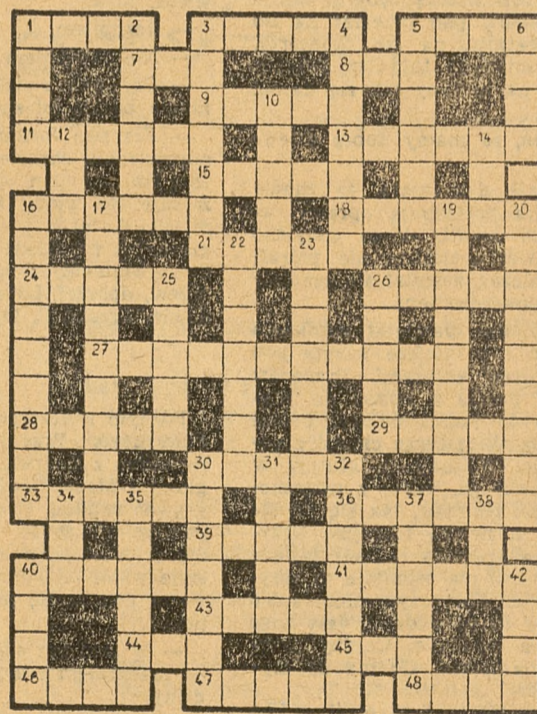
Zlikwidowałbym podział mieszkańców Krakowa na Kraków i Nową Huta. Ta ostatnia winna być tak traktowana jak dzielnice inne, Kleparz czy Podgórze. Do dzisiaj nie jest wyjaśnione, czy Nowa Huta jest dzielnicą czy miastem powiatowym. Na zewnątrz występuje jako miasto wydzielone, choć tak nie jest.

Wydałbym zarządzenie, aby wszystkie zakłady, urzędy, instytucje o nazwie Nowa Huta zmienić na Kraków według kolejnej numeracji Krakowa np. Szkoła Podstawowa nr 80 Nowa Huta na podstawową szkołę nr 80 w Krakowie. Szpital Miejski Nowa Huta na Miejski Szpital w Krakowie itd. Szczególnie w metrykach i świadectwach nie należałoby pisać Nowa Huta. Dzielnicy Nowa Huta nadałbym nazwę Wanda, jak to sobie życzą mieszkańcy Nowej Huty przez swych radnych na kwietniowej sesji.

Do dzisiaj nie jest rozwiązana kwestia nazw ulic i numeracji placów, co sprawia duże kłopoty mieszkańcom i przyjezdnym. Wkrótce przecież będziemy obchodzili 10-lecie istnienia najmłodszej dzielnicy Krakowa więc należałoby te sprawy załatwić.

Przystąpiłbym do budowy linii tramwajowej wokół Krakowa, aby rozładować tłok w śródmieściu. Wybudowałbym drugie pętlę wokół wydzielonego Krakowa aby połączyć lasy Mogiłski i Wolski. Główny dworzec kolejowy przeznaczyłbym na dworzec autobusowy a kolejowy wybudowałbym poza miastem.

ZAB. POL. EDWARD



POZIOMO: 1. Miasto w Bułgarii, 3. Siostra Ballardyna, 5. Mocny materiał, którym pokrywa się tapczany, 7. Rzeka znana z powieści M. Szolochowa, 8. Uderzenie, 9. Twórca „Jerozolimski wywołanej“, 11. Wyspa na Oceanii w grupie Polinezji, 13. Drapieżny ssak z rodziny kotów żyjący w Afryce, zwany „lampartem myśliwskim“, 15. Jezioro w Iranie, 16. Elegancki, modniś, 18. Norweski badacz Grenlandii i bieguna północnego (1861—1930), 21. Najwyższy punkt nężeńia czegoś, 24. Przywódca plemienia arabskiego, 26. Ochota, entuzjazm, 27. W muzyce: zwalniając, 28. Opera Pucciniego, 29. Termin filmowy, 30. Imię żeńskie, 33. Podkłady pod szyny, 36. Główne miasto w Bahreinie, 39. Rzeka wpadająca do Dunajca, 40. Najwyższy wodospad w Finlandii na rzece Vuoksi, 41. Nie gęsto, 43. Miejscowość w woj. olsztyńskim, znana z walk napoleońskich, 44. Zaimek, 45. Zaprzeczenie, 46. Kolor skóry na twarzy, 47. To samo co żargon, 48. Angielska miara długości, równa 9,1 m.

PIONOWO: 1. Imię męskie, 2. Imię przywódcy powstania krakowskiego w r. 1846, 3. Syn Posejdon i Gei, 4. Człowiek zuchwały i niegrzeczny, 5. Miasto na linii Frankfurt-Swiebodzin, 6. Cieśnina oddzielająca Zelandię od Szwecji, 10. Nadworny kozak w dawnej Rusi, 12. Albańska agencja prasowa, 14. „Ulica“ w jęz. francuskim, 16. Wybitny filozof francuski, zwany Kartezjuszem, 17. Autor powieści „W okopach Stalingradu“, 19. Miasto powiatowe w woj. zielonogórskim, 20. Autorka „Medalionów“, 22. Stolica Ugandy, 23. Srodek leczniczy stosowany do kompresów zmiękczających, 25. Kwiat ozdobny, 26. Zdobnie imię męskie, 30. Alkapiid występujący w opium, będący gwałtowną trucizną, 31. Okłaski za pieniądze, 32. Kolor, 34. Marka samochodów radzieckich, 35. Znacwa piękna, 37. Główne miasto w Nigerii Francuskiej, 38. Roślina uprawna, 40. Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża, 42. Cma.

K
R
Z
Y
Ź
Ó
W
K
A

NIE MA ZABAWY bez PANA WŁADZIA

(24)

— Potem jeszcze raz pan się widział z panem Skrobiejącym, tym razem w Hannoverze. Ale nie o to mi chodzi. Niech pan nie stara się przypominać. Mówię o tak, żeby panu udowodnić, że się już jakoś pośrednio znamy. Szkoda, że kontakt się urwał, ale nigdy nie jest za późno by naprawić przeoczenia. Czy pan wie, że pan Skrobiejąc jest w Polsce?

— Nie! Nawet bym go nie poznał.
— Tym lepiej, proszę pana. — Kależak wyjął srebrną papierosnicę i poczęstował Mazurkiewicza papierosem. Kiedy zaciągnęli się, Kależak spytał zniecierliwie: — Pan miał swego czasu kontakty z UB?
— Ja? Cóż za przypuszczenia?
— Jeśli nie, to pan opowiadał o nich. Ale to nieważne. Pan jest oficerem?
— Tak, rezerwy.
— Pan dużo jeździ, prawda?
— Mam samochód, to jeżdżę.
— Ale nie bardzo się panu powodzi?
— Komu się teraz dobrze powodzi! — Nie zgodzę się z tym twierdzeniem. I dzisiaj można jakoś związać koniec z końcem. Wszystko zależy od człowieka.
— Chyba ktoś kto załatwia jakieś ciemne interesy.

— Niekoniecznie, proszę pana. Są interesy, że tak powiem społeczne, mające podkład poważny, ideowy.
— Za idee się nie płaci.
— Kto tak panu powiedział? Są przecież różne idee. Czy pan zgadza się z tym co się obecnie dzieje?
— Proszę pana, nie jestem politykiem. Przyjmuję taki stan rzeczy jaki jest. Próbuje żyć i tyle.

— A czy nie żał panu, że pan młody, przystojny, przepaszam, że tak mówię o panu, ale to mi się nasuwa na pierwszy rzut oka, zmuszony jest tak ciężko pracować by jakoś utrzymać się na powierzchni?
— Innym jest jeszcze gorzej.

Przyznam się panu że uciekającej młodości, żamama się z dniem codziennym, codziennego ubytku radości, życia co tu dużo ukrywać. Wszystkie te piękne rzeczy marnują się bezpowrotnie. Nie wierzę żeby i pan o tym nie myślał. Chodzi pan przecież na złe filmy, do złych teatrów, na złe koncerty. Czy zasużył pan sobie na to? Czy wszyscy zasużyliśmy sobie na to żeby tak się dawać okłamywać?
— Zapomniał pan, że mamy dobre dziewczęta.
— To prawda, ale dziewczęta, to znowu wydatki. Dziewczęta potrzebują oprawy, upominków, nocnych lokali. A to wszystko kosztuje. Tego nawet socjalizm nie potrafi przewalczyć. — Kależak zaśmiał się szczerze ubawiony swoim powiedzeniem.

Mazurkiewicz dobrze pamiętał spotkania ze Skrobiejącym i późniejsze wizyty pod podany przez niego adresami. Przewiozł dwukrotnie jakieś paczki z Polski do Niemiec, otrzymał za to jakieś dolary. Potem to się jakoś urwało. Więc teraz chodzi z powrotem o to samo. Nieznajomy kluczył w rozmowie, obwaciwał go, badał z ostrożnością szewanego lisa. Kależak, tak się przedstawił. Oczywiście nazwisko fikcyjne. Oczywiście człowiek nie krakowski. Znał tysiące osób w Krakowie, jeśli nie osobiście to przynajmniej z widzenia. Nie przypominał sobie by go gdziekolwiek dotąd widział. Jest więc tutaj na gościnnym występie. Czyżby przyjechał specjalnie dla niego? Co ma do czynienia z nim Bundeł?

Kależak jakby czytał w jego myślach, bo spytał:
— Pan ma wielu znajomych w Krakowie?
— Znam prawie całe miasto. Kraków jest nieduży.
— Ma pan znajomości w środowisku inteligencji, wśród profesorów uniwersytetu.
— Tak, znam tych ludzi.
— Wojskowych też pan zapewne zna?
— Wojskowi też ludzie, zna się ich.
— I dziewczęta pan zna.
— Nie mogę narzekać.
— Bo mnie właśnie chodzi o dziewczyny. Mazurkiewicz przystanął i spojrzał bacznie na Kależaka. Nie wyglądał na zbrojnego ani takiego, który by szukał przez innych porozumienia z dziewczynami z powodu wrodzonej nieśmiałości

Nieznajomy wytrzymał jego spojrzenie.
— Patrzy pan na mnie zgorzsony. Nie, nie z tych rzeczy. Jestem żonaty i bardzo kocham swoją żonę. Mnie chodzi o dziewczęta dla pana.
— Dla mnie? Ja też jestem żonaty.

— Przepraszam, nie mam nic złego na myśli. Chodzi o wyższe cele aniżeli prymitywne pakowanie kogoś do łóżka. Niech pan mnie nie posadza o sutenerstwo.

— Ale nie rozumiem...
— W porę pan zrozumie, — ruszyli znowu przed siebie krocząc powoli w kierunku walu nad Rudawą. — Musimy przedtem znaleźć jakieś punkty porozumienia.

— Słucham pana.
— Mam pewną ilość gotówki do rozdania wśród dziewcząt.

— Pomoc od wujaszka z Ameryki?
— Nie pomoc i nie z Ameryki.
— Tylko w bajkach dziewczęta otrzymują pieniądze z nieba.

— Życie proszę pana stwarza nieraz bajki. Ale skończmy ze słowami, które nic nie znaczą. Czy pan potrzebuje pieniędzy?

— Kto ich nie potrzebuje.
— A więc pan potrzebuje. Doskonale. Mogę panu zagwarantować pewne stałe kwoty.
— A dziewczęta? — W głosie Mazurkiewicza lekko zabrzmiała kpina.

— Właśnie na nie.
— Przecież pan mnie pyta czy potrzebuję pieniędzy.

— Och, proszę pana — syknął zniecierpliwiony. Kależak — proszę pozwolić mi dokończyć zdania. Otóż pieniędzmi tymi będzie pan mógł dysponować. Wybierze pan odpowiednio dziewczęta, które pan uzna za godne tego, będzie się pan z nimi pokazywał na mieście, będzie pan im kupował co im będzie potrzebne...



— A w zamian za to?
— Kto? Pan czy dziewczęta?
— Najpierw ja.

— Nic wielkiego. Żadna praca. Damy panu adresy kilku panów, na których nam zależy, pan pozna je z nimi, nawiąże pan znajomości. Nic groźnego, prawda? — Kależak spojrzał zimnym wzrokiem na Mazurkiewicza.

— Rozumiem.
— Nie zawiodłem się na pana.

— Czy pan sądzi, że rola takiego naganiacza będzie mi sprawiała dużo satysfakcji?
— Złe pan formuluje. Naganiacz! To nie odpowiednie określenie. To są sprawy poważniejsze niż pan sądzi. Ale wiem, że pan żartuje. No, więc? Daję panu dwa dni do namysłu. A teraz przyjrzyjmy się niebu. Wygląda jak rozpalona blacha. Bo i gorąco bardzo. Staniemy chwilę w cieniu tamtych drzew, dobrze? Ładnie tu macie w tym Krakowie. Trzeba to lojalnie przyznać.

VII.

Późnym wieczorem Mazurkiewicz wpadł do Falesznego. Przy jednym ze stolików zastał inżyniera z Katowic. Przywitali się skinięciem głowy i Mazurkiewicz czekał aż skończy rozgrywać rundkę. Gra szła wysoko i w pokoju, pełnym gryzącego dymu panowała cisza. Inżynier przebił pulę bez zmużenia oka. Wreszcie wstał od stolika i wzięszy Mazurkiewicza pod ramię poszedł z nim do drugiego pokoju.

— W sam raz się pan zjawił — powiedział — przegrałem i boję się, że będę niewypłacalny.

Mazurkiewicz podrapał się po karku.

— To niedobre — syknął — przyszedłem prosić pana jeszcze o kilka dni zwłoki. Ktoś mi nie oddał pieniędzy i jestem bez grosza. Przyszedłem właśnie żeby pana uprzedzić. Nie lubię długów i to leży mi bardzo na sercu.

Inżynier wysunął rękę spod jego ramienia.
— Nie wiem jak się zachować w takim wypadku — rzekł bardzo oficjalnie — sprolongowałem panu dług z własnej woli o parę dni, ale to nie znaczą...

— Ależ oczywiście. Idzie mi dosłownie o kilka dni. Trzy, cztery.

— Przyzwyczajony jestem, że dług karciane...

— Panie inżynierze — Mazurkiewicz położył dłoń na sercu — pierwszy raz mi się to zdarza. Jest mi niewymownie przykro... proszę zapytać moich znajomych... specjalnie przyszedłem, bo przecież mogłem się tu nie pokazywać aż do chwili...

— Grywam, proszę pana, zwykle w towarzystwie ludzi uczciwych...

— No, nie wiem co zrobić — Mazurkiewicz rozłożył bezradnie ręce — znajduję się w sytuacji podobnej do pana. Ktoś mi winien kilkadziesiąt tysięcy i zarwał mi termin. Też do tej pory nigdy tego nie robił, mogłem więc spokojnie liczyć, że zwrócę panu pieniądze w każdej chwili.

Inżynier spojrzał podejrzliwie na Mazurkiewicza.

— Przecież pan chciał spłacić dług zaraz na drugi dzień. To ja powiedziałem, że odda mi pan gdy przyjadzie do Krakowa.

Mazurkiewicz kiwnął głową na znak zgody.
— W istocie tak było. Wiedziałem jednak, że pan przyjedzie pod koniec tygodnia, wtedy właśnie gdy miano mi zwrócić dług i pieniądze przeznaczone dla pana, obróciłem...

— A ja dzisiaj proszę pana przegrywam i nie będę miał czym zapłacić. Długu po sobie nie zostawie. Niech pan robi co chce. Musi pan przegrać wziąć na siebie.

— Ja tych ludzi nie znam.

— Żałuję bardzo, ale pan rozumie. Mam u pana pieniądze i wolno mi chyba liczyć na moje pieniądze.

— A jeśli pan w końcowym efekcie wygra?

— Nie zanoszę się na to i proszę na to nie liczyć.

— Chodzi o kilka dni...

— Niech siedzi. Nie przeszkadza mi. Mazurkiewicz spojrzał lodowato na Falesznego i nic się nie odezwał.

— Tu nie lokal dla kibiców — mruknął Faleszny. — Ludzie tego nie lubią. Można przecieć grać.

— Głędzi pan — rzekł jeden z partnerów.

— Lepiej byś pan dał się czegoś napić.

— U mnie musi być porządek. U mnie był i będzie porządek. To nie spelunka.

— Ten pan mi nie przeszkadza — oświadczył inżynier i Faleszny wyniósł się jak niepyszny z pokoju.

Około dwunastej bony inżyniera opiewały na sumę osiemdziesięciu tysięcy.

— Będzie pan musiał sprzedać hutę, w której pan pracuje — zażartował jeden z partnerów.

— Spokojna głowa — inżynier nie wyglądał na zdenerwowanego. Natomiast Mazurkiewicz co chwilę ocierał pot z czoła. Siedział milcząc i sprawiał wrażenie człowieka chorego.

Faleszny przyniósł koniak. W czasie kilku minutowej przerwy inżynier spytał z uśmiechem Mazurkiewicza.

— Czy radzi mi pan grać dalej?

Mazurkiewicz skinął głową.

— Ostrzegam pana, że będzie tak jak panu mówięm.

Mazurkiewicz przytknął oczy.

Inżynier znowu siadł przy stole. Przeczekał kilka rozdań i wszedł do gry bijąc w ciemno znaczną stawkę. Ale i tym razem się nie powiodło.

Cybuła wstał od sąsiedniego stolika.

— Na dzisiaj dość — powiedział głośno i ziewnął. Mazurkiewicz podszedł do niego.

— Mam kilka słów do pana. Niech pan pozwoli ze mną do drugiego pokoju.

Grubas poprawił na sobie opadające spodnie i udał się za Mazurkiewiczem.

— Co jest?

— Mam okazję do sprzedania wille w Zakopanem.

Cybuła skrzywił się.

— To nie dla mnie.

— Kiedy mówię panu, że okazja. Gdybym miał pieniądze sam bym ją kupił.

— Nie chcę podpaść. Zaraz powiedzą, że zrobiłem majlant i przycepią się do mnie.

— Nie musi pan dawać swego nazwiska. To się da załatwić. Pojedziemy do Zakopanego, zobaczy pan jaka okazja. Szkoda tego wypuszczać z ręki.

— Boję się. Mówię otwarcie. Wrzepią mi taki domiar, że się nie pobieram.

Mazurkiewicz uśmiechnął się pobłażliwie.

— Proszę nie być dziecinny. Wszyscy lokują dzisiaj pieniądze w takich właśnie obiektach. Brylanty, złoto, to są przestarzałe lokaty. Zwłaszcza że w Zakopanem lada dzień zezwolą na otwarcie prywatnych pensjonatów. Wtedy nieruchomości podskoczą kilkakrotnie, wspomni pan moje słowa.

— Nie reflektuję. To nie dla mnie.

— Jak pan uważa.

— Nie gra pan dzisiaj? — zmienił temat Cybuła. — Mnie nie szkło.

— Jakoś dzisiaj nie mam ochoty.

— No to do zobaczenia — grubas wyciągnął potężną dłoń i potrząsnął z całej siły ręką Mazurkiewicza.

— Dobranoc.

Cybuła wyszedł. Mazurkiewicz siadł przy oknie. Latarnia na ulicy kołysała się lekko rzucając ruchome światło na jezdnię. Duży, wiszący zegar cykał nudno i w pokoju unosiła się delikatna woń jabłek ułożonych na szafie. Siegnął po jedno i ugryzł. Było kwaśne i niedojrzałe. Wypłuł kęs i razem z jabłkiem wyrzucił na ulicę.

Potem zjawił się Faleszny.

— Masz coś na wątrobie?

— Nie czuję się dobrze.

— Był u mnie ten twój krewniak — rzekł obojętnie Faleszny.

— Liczyfura?

— Zgadłeś.

— Czego chciał?

— Pytał się czy tu zachodzisz.

— I coś mu powiedział?

Faleszny pokazał sztuczne zęby w uśmiechu.

— Jestem dyskretny. Nikt nie ma prawa się dowiedzieć kto do mnie przychodzi.

— Pamiętaj, że to ostatniego rzędu świnią.

— Powiedziałem mu, że przecieć wie gdzie pracujesz i żeby ciebie tam szukał.

— Coś knuje.

— Narzekał, że córka zachorowała i nie ma grosza na leczenie.

— Stary kawał.

— Odniosłem wrażenie, że chce cię stuknąć na parę groszy.

— Akurat dostanie.

— Siedział tu u mnie dobrą godzinę.

— Toście się nagadali.

— Ano mówił o tym i owym.

— Zawsze iże jak pies.

— Też tak sądzę. Nie uwierzyłem w nic co opowiadał.

— Gadał coś o mnie?

— Wzięło go na wspominki. Okupacja mu się przypominała.

— Gryzie go sumienie widocznie. Słyszałem, że nie wychodzi z kościoła.

— Tacy najgorsi. Lubią ciągnąć za swoimi grzechami innych.

— Powiedz co ci mówił o mnie.

— Żeście razem mieli w czasie okupacji interesy.

Mazurkiewicz wydał pogardliwie wargi.

— Takie tam interesy. Do niczego się nie nadawał. Chciał żeby mu forsa sama wpadała do kieszeni.

— Masz jakieś zobowiązania w stosunku do niego.

— Tak ci powiedział?

(Dokończenie nastąpi)